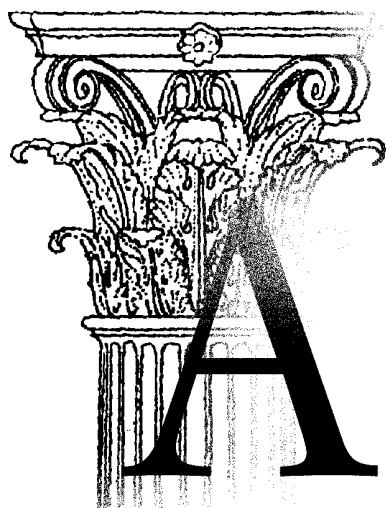
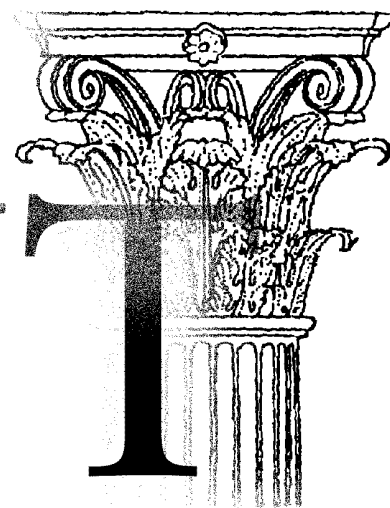




MIESIĘCZNIK LITERACKI



AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 11 (375) Rok XXIX LISTOPAD 2026 cena 10 zł (w tym 8% VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Mariusz Stanisławczyk - Jak buktak wśród dymu

Dariusz Filinger

Prezent

Złoto – krople potu słońca które od zarania pokonuje
codziennie z wysiłkiem nieboskłon i daje ciepło
a rozłoższone spali wszystko

Srebro – lzy księżycy który patrzy na niegodziwości nocy
od pokoleń i swe emocje manifestuje
w przyprawach i odpływach morza

Bursztyn – ziemia krzyczy rozpaczą swoich drzew
ich krew zastygła przed wiekami gdy życie
zagrożone było inwazją meteorów

Jubiler – jak Pan Bóg stwarza na zimno
ze szlachetnych surowców kosztowne dzieło na przekór
niebezpieczeństwom by cieszyć oczy pięknej kobiety –

bo to jest ostatnie tango w Berlinie
za oknami deszcz i smutek gubiących liście drzew
a pociąg odjeżdża o świcie...

Paweł Kuszczynski

Jabłonie

W ogrodzie czerń ziemi
chowała się oczom
pod kwiatowym baldachimem.
Bezlik płatków i łodyg
domykał słoneczne promienie.
Swobodnie i luźno rosły
nagietki, astry gwiazdziste,
lwie paszcze (ich było najwięcej),
nasturcje, białe lilie,
begonie i maliny,
bez z jaśminem,
buldeneże (czekały na imieniny Nauczycielki),
niczym niezagrożona królowała mięta.
W rozkoloryzowanej pełni
wybijał się jej najmocniejszy zapach.
Wzrastały drzewa owocowe:
dwie Antonówki i Kosztela –
dorodne w dojrzałym wieku,
wdzięczni byli im ludzie,
odpowiadały spolegliwie darami.
Nie mogę zapomnieć
niedziennego smaku
tych zielonożółtych owoców
(przeznaczonych na suszenie),
których niezliczone ilości podjadałem
coraz ciemniejszymi zębami.
Antonówki wymienialiśmy
na kromki chleba.
Kosztele, kosztele już dojrzały!
Pokazały się żółte kółka
na zielonym tle.
Rozchodziła się radość wspólna
w tym zaśpiewie.
Chłopięce usta spotykały
oczekiwany smak.
Trudno wytłumaczyć –
jak wiele rzeczy na świecie –
że w moim pokoju
żółcią świecą dwie antonówki
oraz biel dzbanuszka
(przywołująca pamięć dziecięcych zadań),
na podarowanym obrazie.

Czas dzieciństwa w Dobrej.



Marta Krzyśka Jaesienna abstrakcja

Magdalena Kalinowska

poszukiwania

odgryza kawałek jabłka
zastanawia się czy naprawdę

szuka prawdy:
owoc jest owocem
człowiek człowiekiem
świecie jabłka a myśli i a mówi,

nie ma w nim smolttoków,
manipulacji lub perswazji,
i gdy mówi, że *lubi to lubi*

naprawdę

i tylko rytm oddechu
pies kładzie głowę
prosi

połóż
połóż mi rękę na psim czole

Waldemar Jagliński

idzie sen

a sady zaczynają już drzemać
idą powoli w objęcia Morfeusza
gdy ostatnia zieleń staje się zleżała

śpiące grusze i letarg jabłoni
sen który żegna letnie parasole –
zielone ławice rdzewiejące w deszczu

Krzysztof Gołębiewski

Przed końcem

Głód
łamie ciało
jakby świat wbił
zbyt wiele znaczeń

Strach
zna imię
powtarza je szeptem

Jeśli to tylko chemia –
dlaczego boli jak zdrada

Jeśli to instynkt –
czemu żąda słów

Świat milczy
zbyt świadomy
by umrzeć jak zwierzę
zbyt pusty
na spokój

Piszę
bo ból bez sensu
jest tylko raną
a rana
chce śladu

Ja błonie

Jabłko, taki pospolity owoc, a tyle piosenek, wierszy o drzewie, kwiatkach, biblijnych symbolach, zaklęciach, mitach i tyle różnych odmian, legend, potraw, ciast, deserów. Oglądasz nowe jabłko i mimowolnie zgadujesz, jaką może mieć kruchość i kierunek smaku; trochę kwaśny, soczyście słodki, bardziej winny lub szary jak reneta.

Jabłka, karmi nowe bombki jesieni. Nieco cierpkie, słomkowe wina, gdy nieprzesłodzone, aromatyczne jak sad w wieczornej rosie, z latarnią księżycy w koronie. Kompot z małych papierówek w całości, niczym lekki syrop, albo jabłecznik z kruszonką z twardych antonówek, niewielkie szczecinki, krągłe i żółte jak przejrzyste cytryny. A odmiany czerwone, z jasnymi kropkami, jak gwiazdy w jabłkoronnej sferze, potem pieczone, żeby puchnąć strzelały pieniście przy ognisku, lecz bez spalania skórki. Miodowoszarawy mus, lekko słodzony do budyniowej miazgi i czemu cydr, swym złotym chłodem, tak pobudza w cieniu?

Promienna Afrodyta z jabłkiem, co we śnie, na samotnej plaży, wybrała właśnie ciebie, jak Ewa do jabłkopoznania, przez wir powiązań wszechrzeczy, w koło wrotach wcieleń.

Znów słodki sok w kar toniku z rana, bursztynowy, klarowny, jabłko po śniadaniu, kolacji, przy książce, nocą strzygi znów duszą, jabłkową ektoplazmą zieloną, zgniatając zmorą jabłko Adama. Wiedźma w czarnym kap turze, z zatrutym jabłkiem, w podszeptach medium lustra, co fałuje labilnie i nie można dojrzeć zarysu w talii karcianych figur – na figur, jak mawiał święty Igór i zonglujemy jabłkami, przydając im iskier fetyszu wszystkich ran i pożądań.

A jeszcze Atlasa Nimfy Hesperskie, strzegące ogrodu lśniących jabłek Hery, lecz wcześniej smok stugłowy Ladon, co nigdy nie zasypia w swym bestialskim czuwaniu.

I poniesie mnie w mgłę, siwy koń jabłkowity, płynąc przez sad tumanem w strzępach porzuconych gniazd.

Marek S.Podborski,
liryaakantu@gmail.com

Małgorzata Mittelstadt

listopad wiesza wiatr poszarpany
na zmęczonych gałęziach drzew

śmierć się błąka w nocnych opłotkach
zmarznięta i mokra – bezpańska

szuka towarzystwa odwiecznej miłości
samotnica spragniona życia

Stanisław Dłuski

Nikt

Mam ciało, które jest więzieniem.
Kości to krata, skóra – brudna ściana celi.
Serce tłucze się jak pijak o drzwi,
ale nikt nie otwiera. Noszę siebie
jak worek pełen wstydu,
potu i porażek. Rano ledwo wstaje
i znowu w To muszę wejść.
W głowie chaos kosmosu.
Stare głosy, stare błędy, psy,
które gryzą mnie w środku.
Patrzę w lustro – stoi tam facet,
który wszystko przegrał i jeszcze
cudem oddycha. Czasem mam ochotę
rozbić to ciało o mur, wysypać się
z niego jak szkło z rozbitej butelki.
Ale nic z tego.
Cela stoi. Strażnik czuwa.
A ja dalej żyję
z głową w dół

Wojciech Trzciński

Oddech

Pustka wyparła mi z piersi
Duszę
Nie szkodzi
Niewiele była warta
Błędna i ulotna
Ciagle do okna się rwała
Niby na świat sobie popatrzeć
A naprawdę żeby w dół
Mylila się że nic nie waży
Nic to nie waży nicosc
A dusza ta cholera
Potrafi zebra przydusić
Aż do ostatniego

Natalia Grudzień

re(animuj)

oddech
skończył się wraz
z ostatnio zasłyszonym szumem
morza

prześwietlał cię
przez słońce
muskające na twarzy

na wracam
bo przecież
boimy się początku
znacznie bardziej niż końca

Marek S.Podborski

Wie wiórka

zauważ że jestem
inny
i nie płacę pochopnie
gdy wczoraj pochowałem
naszą wiewiórkę pod przy
domową leśniczyną
do której po orzechy
rud ością przychodziła
najpierw sąsiadka przyniosła
ją z ulicy – piękna
zakrwawiona z uszu
i nosa bez ruchu
współotwarte oczy
zachodzące mgłą zmętnienia
tylko bezprzytomnie
oddychała jeszcze
uciekłem do piwnicy
zaklinałem w głos Boga
żeby była
martwa za chwilę
nie u wagi
kiedy już przyniosę starą
gazetę drewniany trzonek
i młotek stolarski
jednak zmuszony
dwa razy ją
dobić

Małgorzata Mittelstadt

Lalka

Marilyn Monroe

wyłączcie kamery
zgaście flesze
chcę napisać o niej
bliska mi jest...

lalka dla wszystkich
piękna i krucha
jak wypchany ptak
na jej ramieniu
spragniony lotu

urodzona po nieczulej
stronie Los Angeles
„skłóconej z życiem”
gdzie każdy ktoś
ma swojego boga

złej nocy sierpniowej
świat ją wydał demonom
zobaczył w niej znowu
niechciane dziecko
jak dawniej

nie pochyliło się niebo
na ziemię nie zeszyły anioły
tylko ptak z fotografii
na ramieniu jej został

wyłączcie kamery
zgaście flesze
przeście jej mierzyć
biodra i biust!

Gracz

Teofil Dobrzański, lat 52, od pięciu lat mieszka w Anglii.

Wysoki, szczupły, z krótko przystryżonymi blond włosami. Jak miliony Polaków jest zarobkowym emigrantem.

Od życia nie oczekuje wiele. Za sobą ma dwa nieudane małżeństwa, nastoletnią córkę, niezbyt udane życie zawodowe pozostawione w Polsce oraz długi alimentacyjny. Ot, zwykły, pogmatwany człowieczy los.

Poza tym, że to osobnik pogubiony i chaotyczny, jest poczciwy, uczciwy i po prostu dobry. Nie zazdrości, nie nienawidzi, przyjmuje swój krzyż z pokorą i go niesie. Dobrzański wyróżnia się za to nieprzeciętną inteligencją – jest czytany i literacko utalentowany. Napisał mnóstwo całkiem przyzwoitych wierszy, wałających się po czeluściach jego twardego dysku. Pozaczynał też sporo opowiadań i powieści, jednak nigdy nic nie ukończył. Zwykle porzucał pisanie prędzej lub później, mając napisane więcej lub mniej. Wrodzona chaotyczność i nieumiejętność trzymania się celu, nie pozwalała mu ukończyć czegośkolwiek, co miało dłuższą formę niż wiersz. Słowem, kompletna maniana. Ale nawet to przyjmował z pokorą, co jakiś czas zaczynając kolejny tekst, wiedząc, że nigdy go nie ukończy. W końcu Teofil stał się mistrzem w zaczynaniu od nowa.

Tu, w Anglii, nasz Dobrzański prowadzi życie proste i niezbyt wyszukane. Przez cztery lata mieszkał w Londynie, w kilku różnych dzielnicach. Przez pewien czas był nawet bezdomnym, funkcjonującym na skłocie. Następnie, za pewną kobietą, z którą ostatecznie też mu nie wyszło, przyjechał do Reading pod Londynem, gdzie osiadł i mieszka od ponad roku.

W Londynie zazwyczaj dużo pracował, bo takie jest to miasto. Wysysa z człowieka każdą godzinę. Musisz dużo pracować, bo inaczej nie opłacisz mieszkania w horrendalnej cenie, transportu i wszystkiego, co wiąże się z codziennym życiem. W naj-

droższym mieście na świecie trzeba ostro zapierdalać, by móc w nim mieszkać.

Dobrzański pracował w kuchniach, jako tzw. *kitchen porter*, czyli po polsku pomoc kuchenna, a właściwie to pomywacz.

Jest to robota ciężka i niewdzięczna – najniższe stanowisko kuchenne. *Kitchen porter* pierwszy do kuchni przychodzi i ostatni wychodzi. Zanim zacznie się robota, musi wszystko przygotować, a kiedy dzień w restauracji się kończy, a kucharze idą już do domu, *kitchen porter* musi wszystko posprzątać, wymienić worki w śmietnikach, pomyć kuchenne stoły, podłogę i cholera wie co jeszcze.

W sezonie taki pracownik może pracować nawet od 7 do 23. I Teofil niejednokrotnie tak pracował. Jednak po przeprowadzce do Reading, gdzie życie jest nieco tańsze, a tempo wolniejsze, choć nadal był tylko *kitchen portere*m, początkowo, gdy jeszcze żył z kobietą, za którą tu przyjechał, pracował tylko na pół etatu. Oczywiście z wyboru. Gdy z kobietą się rozstał, po krótkim i burzliwym związku, w którym bili się trzy razy, co zwykły podkreślać, pracował osiem godzin dziennie. Tyle mu wystarczało, by opłacić skromny pokój, kupić jedzenie, alkohol, trawkę, czasami jakąś kreskę dla urozmaicenia nudnego żywota. I żył tak sobie nasz Teofil, a oprócz ciderów, które lubił popijać, trawki, którą palił w zasadzie codziennie i kokainy, którą używał sporadycznie, miał jeszcze jedną słabość – a był nią hazard.

Nie było to jakieś straszne granie, takie jak w filmach o hazardzystach. Nie przegrał jak dotąd żadnej fortuny, ani, chcąc się odegrać, nie musiał pożyczać pieniędzy od mafii; nie popadł w długi, nie ścigali go wierzyciele. A jednak Dobrzański grał. Grał codziennie. Obstawiał mecze piłkarskie przez internet oraz wpadał do jednego z licznych kasyn w Reading, gdzie stawiał nieduże kwoty na ruletkę. Żetony kładł zwykle na czerwone lub czarne, wy-

grywał lub przegrywał i zazwyczaj szybko wychodził.

Tak więc, jak widzimy, Teofil był raczej rozsądnym hazardystą.

Mecze piłkarskie natomiast obstawiał w oparciu o jakąś tam wiedzę o sporcie, robiąc wcześniej odpowiedni research, dlatego udawało mu się często wygrywać i jak twierdził – był na meczach na plusie.

Co do ruletki, to Teofil zachowywał daleko idący rozsądek, a jako że ruletka jest grą stosunkowo sprawiedliwą, co znaczy, że kasyno ma niewielką przewagę nad graczem, nie strasznego się z jego pieniędzmi nie działo. Ot, raz przegrał, raz wygrał, właściwie nie wiedział, czy był do przodu, czy do tyłu, a nawet jeśli był na minusie w rulecie, nie oznaczało to tragedii.

Inną fascynacją naszego bohatera okazał się buddyzm. Teofil w duchu czuł się buddystą i choć, jak wszystko w jego życiu, czynił to chaotycznie i w sposób pogmatwany – to od czasu do czasu, bardziej lub mniej, starał się praktykować buddyjską medytację.

Pewnego dnia pod wpływem ciderów, marihuany i kokainy, Teofil wpadł na genialny – jak sam osądził – pomysł. Otóż postanowił wykonać eksperyment duchowy. Wymyślił, że odprawi medytację w intencji wygranej w ruletkę, składając przy tym obietnicę, że wygraną podzieli się z potrzebującym pilnie gotówki kumplem z Londynu oraz z bezdomnym; pierwszym którego napotka po wyjściu z kasyna.

W centrum Reading nie było o bezdomnych trudno, podobnie jak w Londynie. Wielu bezdomnych można było spotkać na ulicach angielskich miast, bowiem w Wielkiej Brytanii nie są oni przeganiani. Można się na nich natknąć nawet w centralnym Londynie; pod luksusowym biurowcem ze szkła i stali, sięgającym kilkunastu lub więcej pięter, śpi sobie taki z całym tabunem bagażów, śpiworów, a nawet z własnym psem na sznurku. To zwykły widok w UK, spotkać bezdomnego w tymczasowym domku z kartonów i koców.

Teofil, w całej dziwności swej osobowości głęboko wierzył, że jest oświecony, jak buddyjscy mnisi. Jakoś nie zrażało go, że mnisi w Tybecie poświęcali całe życie na medytację i inną praktykę duchową i tylko nieliczni z nich nazywali siebie oświeconymi. Teofil uważał, że oświecenie to nic trudnego i on taki właśnie jest, więc uwierzył też, że medytacją potrafi sprawić, by rzeczywistość nagięła się pod niego i pozwoliła wygrywać kasiorę na ruletkę za każdym razem, o ile tylko kasą podzieli się z potrzebującymi.

Taki Robin Hood rulety.

Po półgodzinnej medytacji, wykonanej na całkiem niezłym haju, Teofil założył skórzaną czarną kurtkę i wyszedł na ulicę. Swe kroki od razu skierował na Friar Street w centrum Reading, gdzie znajdowało się jedno z kasyn.

Wewnątrz wymienił skromnie 10 funtów na żeton i podszedł do ruletki.

W dzień powszedni w kasynie było niewiele osób, zresztą Teofil się nie rozglądał. Położył swój żeton na czerwone



Ośrodek Szkolenia Kierowców AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00
piątek 8:00 - 16:00;
sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32
tel. 052 342 34 96
tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,
E do B, E do C

i ruleta poszła w ruch. Po dwudziestu paru hipnotycznych sekundach, kulka zamarła na czerwonym.

Teofil wygrał 10 funtów.

Zgarnął dwa żetony – miał teraz 20 funtów.

Przeczekał jedną grę, a w kolejnej położył oba żetony znów na czerwone i... kulka ponownie usadowiła się w słocie oznaczonym czerwoną barwą. Teofil miał już 40 funtów w żetonach. Tym razem oczekiwał dwie gry, zastanawiając się, na co postawić. Ostatecznie obstał wszystkimi żetonami czarne i... ku radości Teosia wypadło czarne. Wcześniej postanowił, że zagra trzy razy, jeśli będzie wygrywał, i odejdzie od stołu.

I tak właśnie zrobił. Z uśmiechniętą mordą poszedł wymienić żetony na pieniądze.

Z 10 funtów zrobiło się 80.

Wychodząc z kasyna rzucił do wielkiego Murzyna w garniturze, który stał na bramce, niedbałe: – *Bye* – i poszedł wzdłuż Friar Street z lekkością motyla, powstrzymując się, by nie podsłakiwać niczym Frank Sinatra, pogwizdując wesołkowatą melodyjkę.

Mijając bezdomnego, który siedział na ulicy z kartonikiem, na którym było napisane: *change please*, wrzucił do kapelusza 10 funtów, co natychmiast ożywiło pogrążonego w letargu brudnego angola z dawno niegolonym zarostem: – *Ou, man, thank you very much. You are good man, very good man. Many thanks buddy.* – Gość naprawdę się podekscytował, bo rzadko do jego kapelutka wpadał banknot, i to od razu 10-funtowy.

Tymczasem Teofil, w poczuciu dobrze spędzonego czasu, wracał do domu, gdzie zamierzał przelać kumplowi z Londka 25 funtów, tak by cała wygrana została podzielona na pół.

Zainwestował 10 funtów, które odzyskał i zarobił 70 na górkę, co daje 35 dla Teofila i 35 dla potrzebujących.

Uczciwie jak cholera.

Teofil powtarzał operację „Kasyno”, jak ją nazwał, przez cały pierwszy tydzień. Najpierw medytacja, następnie spacer do kasyna, trzy gry i „bye” do Murzyna. Nie wysyłał już pieniędzy swojemu kumplowi do Londynu, ale spacerował po centrum tak długo, dopóki nie rozdał 35 funtów trzem bezdomnym; dwóm po 10, ostatniemu – 15.

Operację „Kasyno” rozpoczął w poniedziałek, a skończył w sobotę, w niedzielę natomiast postanowił, że w święto do kasyna chodzić nie będzie. Wygrał w ten sposób na czysto 420 funtów, co stanowiło nie najgorszą tygodniówkę w przeciętnej pracy w UK. Z tego 210 przypadało jemu, a drugie tyle bezdomnym, którzy powoli zaczynali go kochać.

Kolejnego tygodnia postanowił skorzystać z innych domów gry, gdyż pod koniec poprzedniego zauważył, że gdy wchodzi do kasyna na Friar Street, obsługa zaczyna się na niego dziwnie patrzeć i dawać sobie znaki oczami. Był obserwowany. Na ten tydzień wybrał zatem dwa inne kasyna i grał w nich naprzemiennie od poniedziałku do soboty, codziennie powtarzając swój rytuał.

Medytacja, spacer do kasyna, trzy gry

i wypad, by rozdać kasę bezdomnym. Aby to nie byli codziennie ci sami, nadkładał drogi, zahaczając o Oxford Road, gdzie było oczywiste, że na pewno jakiegoś spotka. W niedzielę zaś odpoczywał i do kasyna nie szedł.

Kolejne dwa tygodnie kontynuował operację, udając się do różnych kasyn, co zabierało więcej czasu, gdyż musiał drałować także do lokali bardziej oddalonych od centrum. By nie spotykać ciągle tych samych bezdomnych, więcej spacerował też po centrum miasta i Oxford Road, gdzie oprócz żebraków, wieczorami i nocą, można było natknąć się także na tanie dziwki, zazwyczaj narkomanki, polujące na klientów za 20 funtów. Mimo tych wysiłków, odnajdywanie nowych potrzebujących robiło się coraz trudniejsze. Nie chciał dawać kasy wiecznie tym samym angolom, bo tak się składało, że bezdomnymi, których spotykał, byli przeważnie Anglicy – narkomani i pijacy.

W ten sposób minęły cztery tygodnie, podczas których Teofil wyjął z ruletki 1680 funtów. Na czysto, po odciążeniu narzuczonego sobie 50-procentowego podatku od wzbogacenia, zarobił 840, co stanowiło sporą sumkę, hojne uzupełnienie dochodów, jakie czerpał z pracy.

Poczul się bogaty.

Sam nie potrzebował wiele, więc natychmiast przesłał byłej żonie 500 funtów z zaległych alimentów, za które był już ścigany sądownie. Teofil kochał córkę i płacił ile mógł, ale będąc *kitchen porterem* nie mógł liczyć na kokosy.

W kolejnym tygodniu postanowił zrobić przerwę, by nie nadużywać... no właśnie, czego? Po miesiącu wygrywania codziennie trzech gier w ruletkę, mógł już z całą pewnością powiedzieć, że jego metoda się sprawdziła i nie można tego wytłumaczyć szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Inna sprawa, że w lokalach w Reading mógł czuć się spalony. Nie było już kasyna, którego nie odwiedził przynajmniej dwa razy, a robiąc kolejny taki maraton, z pewnością spali się doszczętnie. Nie było już też żebraka w Reading, któremu Dobrzański nie dałby kiedyś pieniędzy.

Na kolejny miesiąc wybrał więc pobliskie miasto Slough, gdzie z Reading jechało się jakieś 25 minut pociągiem. Teofilowi jego druga praca w kasynach zabierała coraz więcej czasu i kosztowała więcej, gdyż musiał teraz opłacić także bilet w obie strony. Spróbował nawet zmienić proporcję rozdawanych pieniędzy, potrącając sobie koszt biletu, jednak pierwszego dnia po tym, jak to zrobił, niespodziewanie pierwszą grę przegrał.

Zdziwił się, gdyż była to pierwsza przegrana odkąd zaczął stosować swoją metodę. Po namyśle postawił kolejną dychę i znów przegrał, więc natychmiast wyszedł z kasyna i wrócił do domu stranny, czując się jakby ktoś lub coś pogroziło mu palcem. Kolejnego dnia, z duszą na ramieniu, stawiał pierwszy zakład. Odetchnął, kiedy znów wygrał trzy gry z rzędu. Pieniądze rozdał po staremu, czyli *fifty-fifty*. Od tego czasu nic więcej przy rachunku nie kombinował i wygrywał dalej bez zakłóceń.

Po następnych czterech tygodniach znów zrobił tydzień przerwy, a na kolejne cztery wybrał miasto Basingstoke. Potem Newbury, Farnborough, po czym stwierdził, że po czterech miesiącach może ponownie wrócić do Reading i zacząć kółko od nowa.

Kolejny miesiąc w Reading miał być już szóstym w jego ruletkowej krucjacie. Przez ten czas Teofil zarobił na czysto mniej więcej jakieś 4 tysiące funtów. W przeliczeniu na polską walutę stanowiło to około 20 tysięcy złotych, dzięki czemu dobrze żył, spłacił zaległe alimenty z nawiązką, a także obsypywał swą nastoletnią córeczkę prezentami. Drugie tyle oczywiście rozdał bezdomnym. A że tak naprawdę nie były to wielkie kwoty, więc i żadne z kasyn specjalnie nie zubożało na tym dziwnym procederze, który niewątpliwie miał poparcie jakichś wyższych sił.

Nie wiedział jednak, że pomimo ostrożności i tak wzbudził zainteresowanie ich właścicieli. A wszystko przez to, że pierwszego tygodnia popełnił kardynalny błąd.

Otóż, jak zapewne pamiętacie, pierwszego tygodnia Teofil chodził tylko do jednego kasyna. Wygrywał nieduże kwoty, ale facet, który przez cały tydzień pojawiał się w lokalu o podobnej porze, grał trzy gry w ruletkę, wygrywał i zaraz wychodził, rzucając do Murzyna *Bye*, natychmiast wpadł u niego tylko 420 funtów, ale w jaki sposób to zrobił!? Nikt jeszcze czegoś takiego w tym kasynie nie wykonał, więc musiało to być oszustwo.

Władze kasyna wynajęły detektywa, który przez wszystkie te miesiące śledził Dobrzańskiego i dokumentował jego wygrane, próbując dociec, jaki rodzaj przekrętu stosował ten dziwny gracz. Mimo starań, nie potrafił udowodnić mu oszustwa, bo przecież żadnego oszustwa nie było. W tej sytuacji kasyno nie miało podstaw, by zgłosić sprawę na policję, mimo że działalność tego gracza wykraczała, by tak rzec, daleko poza rachunek prawdopodobieństwa.

Szóstego miesiąca Teofil wrócił do lokalu, od którego rozpoczął. Znów wygrał trzy gry i wyszedł rzucając: *Bye* do Murzyna. Nie wiedział, że wyszło za nim dwóch innych Murzynów z krótkimi pałkami za pazuchą.

Gdy nasz bohater rozdał kasę żebrzącym, którzy natychmiast go rozpoznali, ciesząc się na jego widok, poszedł dalej, zatrzymując się przy ławeczce w parku Forbury Gardens, by zapalić skrętą. Śledzący go faceci dopadli nieszczęśnika w tym ustronnym o tej porze miejscu i obili srogo pałkami, waląc Teofila po głowie. A gdy ten stracił przytomność, połamali mu tymi pałkami nogi, metodycznie skopali podbitymi blachą buciorami i spokojnie odeszli w noc.

Teofil doszedł jako tako do siebie w Royal Berkshire Hospital, na London Road w Reading. Był pogodny poranek. Od dwóch miesięcy leżał w szpitalu z połamanymi nogami, od pasa w dół w gipsie, z zabandażowaną głową, z popękana czaszką, wybitymi zębami, złamanym nosem, szczęką oraz wieloma żebrami.

„Na szczęście nie połamali mi rąk” – pomyślał, logując się ze swojego laptopa na konto u bukmachera. ♦

Marek Bocian

Grają w owińskim lesie

cztery kruki i żuraw
po chmurach
na fletach grają

krucha topola skora do opału
bez zadęcia na wiolonczelę

trzymam miejsce w moim lesie
wyniosły jaworze
do tęsknoty nie znajdę klucza
choć czasu bywałam kontrabasem
proste mam teraz do próchna serce

gdy zwlekła się zła pogoda
palenisko rai wędrowcom
dalekie ptasie nostalgic

bez wstydu płonę

Kumpela nas zaklepała

bawiliśmy się w schowanego
raz dwa do trzy bo czas
wesoły jest nieobliczalny
odliczała to my po dołach hen

ona błada więc każdy kryje się
jak pod niewidkę w oddali
albo gra w nieodnalezionego
przewlekłe dnia czeka
już ten przygruchany ale tamten
tak pogubił się że nie wiadomo

kto się w porę nie skapnął
był uklepany szpadlem
jedni zdążyli inni wcale a jeszcze
zostali których w między czasie
w śniegu na wietrze
musieliśmy sami schować

w dole gliniastym bez prądu
hen
na rodzinnym cmentarzu
... dziadka babki

Jesienią roztopy

Matko Zmarzlino.
Pod sercem dusiłaś grudę paniki.
Wcześniej potargał cię czas.
Na polu buraków zziębnięta od kolan.
Zrozumiałem żeś wojnę wypędzona:
u bauera miałaś 12 lat. Obca.
Wybiegałem cały do słońca.
Hodowałaś /mówisz/ roztropnie.
Nie kołysałaś. Karmiłaś piersią
wezbranych roztopów. Dziękuję.
Okrywałaś śniegu piórem.
Na rozstajach milczałaś: „-Wedle mnie”.
Można bez oka ręki ciepła wzrastać.
Można bez ziemi Mamo. Wybaczam.

Pamięci Marka Kośmidra

*Łamani będą w słońcu aż słońce się złamie
A śmierć utraci swoją władzę.*
Dylan Thomas tłum. Stanisław Barańczak

Naostrzyłem ołówek słowa kreślę:
Wpadniemy jak ogródki ruszą.

Tam gdzie miałeś wytchnienie
przetracone haczką dzikie nasiono
krwawnik wrotycz pokrzywa po pas.

Opodał pociągi niezawodnie terkoczą.
Twoja działka bez ręki na wietrze.

Okna w bloku na siódmym palą się
znaczy bywa tam Twój Człowiek - śpi ?

Nas teraz siła Marków razem
a Jerzy ostatnio wspominał.
Planujemy fasolę znaczeń tłuc
marchew czernią słońce wilgocią
wymowniej od Wolnej Europy.

Te wiersze Thomasa pożyczyłem
w dobre ręce to Ci oddam
jak tylko adres zapodasz:
działkę kwaterę
na wągrowieckim
Kolego.

Taki kusy dzień

dzień robi się kusy
gdy dnieje topi się
światło przyrodziane jesienią.

kawałek wosku puszczoney
na gorących drzwiczkach
kaflowego pieca. pachnie sobota
w oddali ojciec czyta synom.
matka pożyczka na życie
tabletki z krzyżykiem.
wyłuskuje mnie
w mydlanej miednicy
jak groch na prostej tyczce.

z oddali usłyszę czy książkę
a może żebrak jakiś szatański epilog.
lecz teraz obuwam
siedmiomilowe buty przemijania
one do zmierzchu mnie niosą
czym prędzej.

Jemiolo matko ojcz

ojcz bluszczu
matko jemiolo
wy tak dawni za górami lasami
w martwej gęstwinie pogubieni
gdzie Śpiąca Królowna na dializie baśni

przerośnięci pokoleniami niemych porostów
na kostropatej wiejskiej jabłoni
wasza obecność kiedyś rozbiegana
blisko czuła w datach urodzin śmierci
teraz brak błysku zapatrzenia dotyku

odnajdę was wzlecę nad miasto
trzymając na sznurku balonik
fantomowych boleści
odczaruję
matko jemiolo
ojcz bluszczu

liście grabu wyzłacają zielen

zbudowałem dom
z mentalnych skłonności
poruszał się w koleinach
jak ziarno sezamu
wygodny bez okna
nie zaznałem wytchnienia

zbudowałem dom
jak uciekająca galaktyka
trudno w nim przywołać
myśli o prostych sprawach
nawet serce nie mieściło się
by ogrzać koniec końców
rozszerzające się żrenice

dotykam twarzy
w lustrze splątanie
spłowiące dredy
późną jesienią
jedynie liście grabu
zielen wyzłacają

Łańcuch

– Dzień miałam dobry – powiedziała Krysia, do której pojechaliśmy po południu. – Humor zepsuł mi tylko ten łańcuch na furtce. – dodała po chwili.

Z początku nie wiedziałem, o co chodzi: o jaką furtkę i jaki łańcuch? Przyjechałem do tego pięknego wiejskiego domu obejrzeć relację z jej wystąpienia na forum ekonomicznym. Mieliśmy jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia emisji, więc zaprosiła nas na kawę, która miała być podana na tarasie. Jej córka z miejsca zajęła się nauką hiszpańskiego w jakiejś aplikacji, a my siedzieliśmy przez pewien czas w ciszy, patrząc na baraszkujące między drzewami wiewiórki.

– O jakim łańcuchu mówisz? – zapytałem w końcu.

Upiła nieco kawy, odstawiła filiżankę na spodek i skinęła głową w kierunku ogrodu.

– Sąsiad założył łańcuch.

Spojrzałem na niewielką furtkę w płocie oddzielającym ich posesję od działki jej byłego zięcia. Użycie słowa „sąsiad” było bardzo symptomatyczne. Nigdy nie pałali do siebie sympatią.

– Chodź, pokażę ci.

Poderwała się i poprowadziła mnie do ogrodu, którego część stanowił drewniany płot. Mała furtka była prywatnym przejściem między dwoma posesjami i po prostu ułatwiała przemieszczanie się z ogrodu do ogrodu. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby montować tam jakąkolwiek blokadę. Do teraz.

– Jak on mógł to zrobić? – jęknęła Krysia, wskazując gruby łańcuch między sztachetami. To był rodzaj bardzo solidnego zapięcia rowerowego zamykanego na kluczyk.

– No tak... – powiedziałem tylko. Relacje między eksmałżonkami były napięte, kwestia podziału majątku ciągle czekała na rozstrzygnięcie, a ten łańcuch świadczył o tym, na ile życzliwości i konsensusu można liczyć z strony „sąsiada”.

– Ja to zaraz przepiłuję. – w głosie Krysi pojawiła się bojowa nuta.

Popatrzyłem na nią z łagodnym pobłażaniem. Była doskonałą dziennikarką i eseistką, o pisaniu wiedziała wszystko, ale o zabezpieczeniach rowerowych niewiele.

– Krysiu, w rękawie ochronnym jest łańcuch z utwardzanych ogniw. To jest wzmacniana, hartowana stal, Musiałabyś użyć szlifarki kątovej albo profesjonalnych nożyc do pretów.

Smętnie pokiwała głową, ale widziałem, że ma ochotę spróbować pilowania. Choćby symbolicznie, traktując to jako akt sprzeciwu. Wróciliśmy na taras dokończyć chłodną kawę. Zaraz potem przeszliśmy do gabinetu Krysi, gdzie już czekał włączony komputer. Usiedliśmy i po chwili zaczęła się transmisja jej wystąpienia. Wykład wygłoszony na temat przenikania się świata kultury i gospodarki był porywający. Kiedy padły ostatnie słowa, nie mogliśmy uwierzyć, że minęła już niemal godzina.

– Jak zwykle fascynujące! – powiedziałem zegnając się z Krysią w przedsionku.

– Dziękuję wam, że przyszliście. To byłby taki piękny dzień, gdyby nie ten łańcuch. Plakać mi się chce, jak o tym myślę.

Po powrocie do naszego domu ciągle zastanawiałem się nad tym nieszczęsnym zapięciu rowerowym na furtce. W geście jego założenia był jakaś elementarny brak wrażliwości, a może i rodzaj prowokacji. Przecież nie chodziło tu o rzeczywistą blokadę drzwi, bo, szczególnie ostatnio, prawie nikt tamtędy nie przechodził. To stanowiło rodzaj przykrej manifestacji; bezduszne, rzekłbym nawet brutalne, pokazanie, kto tu ustala reguły gry. Jeśli ów „sąsiad” chciał zrobić Krystynie przykrość, to plan zrealizował w stu procentach.

– Ty ciągle myślisz o tym łańcuchu? – zapytała Hanka, widząc moją markotną minę.

– Zgadłś. Nie daję mi to spokoju... – przyznałem.

– Uważam, że przesadzacie. Chciał, to sobie zamontował...

– Ale po co?

– Może Edek często tam chodził? Zresztą nie wiem.

– Twoja mama poczuła się tym bardzo dotknięta.

– Daj spokój. – Hanka machnęła ręką.

– Nie macie większych problemów?

Powiedziawszy to, odeszła do swoich zajęć. Westchnąłem. Zawsze przechodziła nad takimi sprawami do porządku dziennego, nie patrzyła za siebie, a raczej śmiało stawiała czoła wyzwaniom, jakie niesły kolejne dni. Zazdrościłem jej tego pragmatyzmu, bo sam odczuwałem jego deficyt. Lubowałem się w roztrząsaniu problemów, z których wiele powstawało w moim własnym umyśle. Rozpamiętywałem przeszłe wydarzenia jakbym zdrapywał strupy na dawno zagojonych ranach w nadziei, że jeszcze coś się tam pojawi.

Następnego dnia na szczęście nie musiałem iść do pracy, bo dostałem trzy dni zwolnienia lekarskiego, uzasadnionego ogólnym wyczerpaniem, raczej niż konkretną jednostką chorobową. Uważam, że tego typu przerwy są ze wszech miar uzasadnione i usprawiedliwione. W ten sposób człowiek po prostu reaguje z wyprzedzeniem na potencjalny, ale jakże prawdopodobny atak choroby, która przecież cały czas przyczajona czeka na sprzyjające warunki. Nie można do tego dopuścić. Należy odpocząć, wypaść się i odbudować nadwątlony system odpornościowy. Stosuję tę strategię od lat i jestem przekonany o jej skuteczności. Tak więc zostałem w domu, ale nie mogłem sobie tam znaleźć miejsca. Ciągle myślałem o nieszczęsnym łańcuchu i próbowałem znaleźć wyjście z tej sytuacji. Coś, co pozwoliłoby Krysi odnaleźć spokój, a jednocześnie byłoby sygnałem dla „sąsiada”, że nie tylko on może dyktować warunki.

Na pomysł wpadłem zupełnie niespodziewanie podczas obierania ziemniaków. Już nieraz zauważyłem, że w moim przypadku tego typu proste, mechaniczne czynności sprzyjają myśleniu koncepcyjnemu, co do pewnego stopnia zadawało kłam rozpowszechnionym teoriom o ogłupiającym

charakterze wszelkiej powtarzalności i monotonii. Owo rozwiązanie problemu Krysi było nadzwyczaj proste: powinna kupić i założyć na furtkę swój łańcuch, najlepiej równie solidny, o ile nie solidniejszy od już zastosowanego. To byłby wyraźny sygnał: nie ty będziesz decydował, kiedy furtka może być otwarta.

Natychmiast do niej zadzwoniłem.

– Słuchaj! – powiedziała rozemocjonowana. – To jest świetna myśl! Nie mogę nic zrobić z jego łańcuchem, ale to nie znaczy, że mam oddać inicjatywę. Proste ruchy często okazują się mistrzowskimi. Zaraz pojadę do sklepu rowerowego. Wpadnij do mnie po dwunastęj. Hanka mówiła, że jesteś na zwolnieniu.

Poddusiłem zeberka z cebulą i pojechałem do Krysi. Na mój widok od razu zaproponowała kawę, a kiedy filiżanka z aromatycznym napojem stała już przede mną, pani domu uroczyście wniosła do salonu zakupione dziś zapięcie rowerowe. Było bardzo porządne i do tego tej samej firmy, co tamto na furtce.

– Dobrze? – zapytała Krysia.

– Znakomite! – odpowiedziałem – Mam wrażenie, że jest nawet solidniejsze...

Od razu poszliśmy do furtki. Zapięcie było tak ciężkie, że z trudem obwinałem nim sztachety. Uroczyście gestem wręczyłem Krysi kluczyk.

– Ty zatrzasknij. – zaproponowałem – To będzie miało wymiar symboliczny.

Oboje zachichotaliśmy.

Po powrocie do salonu, Krysia poszła do szafki z alkoholami i wydobyła smukłą butelkę Metaxy.

– Musimy to uczcić! – zaszczebiotała.

Jednak nie był to koniec historii. Jak się okazało zablokowanie furtki przez „sąsiada” było zaledwie pierwszym ogniwem nomen omen łańcucha wydarzeń, których finał okazał się dla wszystkich wielkim zaskoczeniem. Następnego dnia byliśmy z Hanką w domu, spędzając spokojny wieczór w naszym przytulnym salonie. Ja czytałem jakąś angielską powieść, ona robiła kolejny sweter na drutach, co jakiś czas go prując, jak to miała w zwyczaju. W pewnej chwili zawiąbrał jej telefon. Okazało się, że dzwoniła Krysia. Hanka słuchała przez dłuższą chwilę ze zmarszczonym czołem. Połączenie trwało jednak bardzo krótko, co było niezwykle w przypadku telefonów od Krysi i oznaczało przekazanie jakiejś arcyważnej informacji.

– Mama powiedziała, że on zdjął ten swój łańcuch. – w głosie Hanki słychać było niedowierzanie.

– Jednak miałem rację. To był dobry ruch.

Zaraz potem znowu zawiąbrał jej aparat. Tym razem odebrała w trybie głośnomówiącym. To był jej były mąż.

– Słuchaj ... Haniu... – usłyszeliśmy jego charakterystyczny głos – Chciałbym.... Eee... pogadać w sprawie domu.... Tak na spokojnie.

Rozmowa trwała jeszcze przez chwilę i umówili się na spotkanie w pobliskiej restauracji. Hanka odłożyła telefon, a ja popatrzyłem na nią z uśmiechem.

– A teraz zadzwonię do twojej mamy – powiedziałem – i powiem jej, żeby zdjęła swój łańcuch.

– Może nich się jeszcze wstrzyma... – odparła Hanka i puściła do mnie oko. ♦

Hanna Strychalska

Epitafium dla pełni

Liryka Aliny Rzepeckiej

Jak objąć słowem tę bogatą paletę emocji, nastrojów, stanów i współodczuwania, które odnajduję w poezji Aliny Rzepeckiej? Punktem wyjścia dla jej twórczości jest codzienność, kresowa historia rodziny, głębokie przeżycia innych osób, które – poprzez swoiste wtajemniczenie – stają się jej doświadczeniem egzystencjalnym. To także relacje z najbliższymi i przyjaciółmi oraz poeciami z całej Polski, z którymi spotkania, rozmowy i wynikające z nich wiersze stają się inspiracją dla jej poezji. Ważnym impulsem jest natura oraz sztuka, często przeniknięte delikatną refleksją o przemijaniu.

Autorka cały czas poszerza grono osobowości, reprezentujących różne dziedziny, opisując ich niezwykle dokonania, historię życia, dotykając również szczególnego momentu, jakim jest śmierć. Wśród dedykacji między innymi: Irena Sendlerowa, Władysław Maciejewski, Wanda Rutkiewicz, Édith Piaf, Sylvia Plath, Vincent van Gogh, ale też Małgorzata Lebda, Bogumiła Salmonowicz, Dorota Lorentowicz, Andrzej Baszkowski, Wojciech Banach, Mieczysław Franaszek, Jerzy Puciata i Nikifor.

Rzepecka, w opisie bliskiej sobie rzeczywistości, zjawisk oraz natury, którą intensywnie odczuwa całą sobą, jak i w wyrażaniu emocji, posługuje się lirycznym obrazowaniem. Buduje je synteza i przenikanie różnych rzeczywistości, a także ekspresja, obok której „staje” nagle matematyczny konkret i pewnik, porządkujące rzeczywistość, przede wszystkim tę wewnętrzną, samej autorki. W utworze „Przezimowanie”, zainspirowanym postacią poetki Sylwii Plath, czytamy:

nie można zrobić wszystkiego tylko *jeden raz*
jedyny i to na zawsze
wiedzą o tym dzieci i pszczoły
ich miódno-złoty taniec pełen powtarzalności i ufności w jutro
wabi wiosnę
wystarczy sześć słoí miodu żeby wszystko ocalić
tylko sześć słoí

Wyobraźnia Rzepeckiej nie lęka się odważnych myślowych skrótów, które nadal jednak są czytelne, a równocześnie pozostawiają odbiorcę w bezpiecznej odległości od jednoznacznego rozpoznania sytuacji:

lekarz zabrania trzeciej cesarki
a ja muszę urodzić je
na nowo
mój brzuch jak arka
ocala
głosy dotyk i kolor włosów
(„terapia dzień bolesny”)

Jej kobieca, wewnętrzna siła przystaje niekiedy na „granicy”, aby przyznać się do ludzkiego zagubienia, osamotnienia lub wyczerpania, i w tym kontraście zawarta jest energia otwarcia i szczerości wobec siebie i otoczenia, co stanowi ciekawy środek wyrazu artystycznego.

Wspomniana tu historia życia, czasem już zamknięta, w połączeniu z dedykacją zawierającą imię i nazwisko prowadzi do rozważań osadzonych w tradycji. Przewodnim tekstem, który od razu kieruje czytelnika w głąb tego zagadnienia, jest wiersz „Warkocze”, wskazujący na tragedię Holocaustu i będący hołdem dla niezłomnej postawy Ireny Sendlerowej, ratującej z warszawskiego getta żydowskie dzieci. Bohaterka utworu zapewnia:

nie boję się Mamo
moje życie ocaleje w słoiku
jak wychudłe ciało wtulone w twoje serce.

Wiele z utworów Aliny Rzepeckiej odbieram jako rodzaj epitafiów albo raczej elegii o



bezcennej pamięci i pełni życia – jedyne, skończonego i niepowtarzalnego. Każdy z nich można też symbolicznie oznaczyć imieniem, jak wyrazistym śladem trwającej lub spełnionej już egzystencji.

Imię oznacza tyle, co zaistnienie i tożsamość, wraz z całym splotem zdarzeń dziejących się w czasie, które mają swój początek w tym nagłym i dziwnym, biologicznym i duchowym „zawiazaniu”, co – jak słyszymy w znanej piosence sprzed czterdziestu dwóch lat („Iść w stronę słońca”) – *ludzie prozaicznie życiem zwą.*

Od czasu starożytnego Egiptu imię zapisane we wnętrzu grobowca i połączone z modlitewną inskrypcją oznaczało trwanie i towarzyszące temu nieustające wstawienie do bogów. W tym materialnym fackie zawarta była aktywna, ludzka pamięć, która miała wpływać na rzeczywistość boską. Tak więc skucie inskrypcji z imieniem, jak to uczyniono w przypadku faraona Echnatona, oznaczało „wymazanie” go z wieczności – a przecież ta, obok zapisania się w historii, była najważniejszym i ostatecznym celem życia władcy jak również każdego Egipcjanina.

W stylowym i nagradzanym filmie „Wszystkie poranki świata” w reżyserii Alaina

Corneau, z 1991 roku, którego akcja dzieje się w XVII-wiecznej Francji (wizualnie inspirowanym caravaggionizmem i malarstwem niderlandzkim), będącym ekranizacją powieści Pascala Quignarda, spostrzegamy znaczącą scenę. Oto kameralna msza pogrzebowa zakończona zostaje obrzędowym zgaszaniem świec, tworzących imię zmarłego, co oznacza, że zakończyło się jego bytowanie na ziemi i teraz przechodzi on do innej rzeczywistości.

Epitafia – tak charakterystyczne dla obyczajowości antycznej Grecji i Rzymu, których tradycja przetrwała w kulturze europejskiej do połowy XX stulecia, co możemy obserwować na najstarszych i najpiękniejszych nekropoliach Europy – obecnie, jak się zdaje, piszą już tylko poeci, ofiarowując swoje wiersze tym, którzy odeszli. Dzięki nim bohater utworu, nagle przywołany, wyłania się na chwilę z tajemniczej „scenerii” i jakby ożywa w poetyckiej kwintesencji swojej historii. Widzimy to w wierszu „Lekcja”, dedykowanym Mieczysławowi Franaszkowi, aktorowi wielu polskich teatrów, który przez kilkanaście ostatnich lat występował w Teatrze Polskim im. Hieronima Konieczki w Bydgoszczy, był również podróżnikiem i fotografikiem. W poetycki tekst udanie wplecione zostały tytuły jego indywidualnych wystaw fotografii z podróży, niektóre zaś z tych tytułów nawiązują do sztuk teatralnych z jego udziałem. Wszystko to, z perspektywy odchodzenia w inną rzeczywistość, nabiera znaczenia symbolicznego, niemożliwego do przewidzenia wcześniej. Czytamy więc:

ten dzień miał się nigdy nie skończyć
targowaliśmy się z Bogiem
o chwilę chwilkę kolejny oddech

a ty
przemierzałeś najkrótszą z dalekich podróży
w siedmiomilowych butach pogodzony
ze sobą i światem

poszukiwanie równowagi osiągnęło cel

Alina Rzepecka jest autorką czterech tomików poezji: *Bezsensność* (2005), *Oswajanie snów* (2014), *Punkty styczności* (2018) i *Bez lęku wysokości* (2023), w których widać, jak bardzo sugestywnie oddziałuje na odbiorcę poprzez pejzaże i fragmenty natury, oddających stan emocjonalny wykreowanego przez nią podmiotu. W ten sposób, z upodobaniem i talentem, wpisuje się w tradycję sięgającą liryki antycznej (*Antologia Palatyńska*, w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka), gdzie uczucia i nastroje, a także przenikający ludzką egzystencję proces przemijania wyrażone są przez kosmiczny, powracający i porządkujący rytm pór roku, naprzemienność dnia i nocy. Poetka ukazuje różnorodność, zmienność i kruchość przyrody, której formy obserwuje i z satysfakcją nazywa, określając barwy, kształty i światło. A „nazwanie” oznacza tu dostrzeżenie i rozpoznanie „częstek elementarnych” otoczenia. Umacnia ono sam podmiot w poczuciu siły istnienia, działania oraz w świadomości i intensywności przeżywania. Możliwe, że w poezji Rzepeckiej „za czynnością nazywania” ludzi i rzeczy ukryta jest też intencja ożywienia tego, co umarło.

Rzepecka jest szczególnie wrażliwa na piękno natury, czerpie z niej moc życiową i twórczą, co znakomicie przedstawia w wierszu „Powinowactwo”. Pozwala się wciągnąć i

pochłonać prawie „bez lęku” – w znaczeniu metaforycznym, ale również fizycznym i psychicznym – przestrzeni morza i ocienionej głębi lasu. Zieloną wilgotność łąki o świetle odczuwa jak kolejne narodziny świata i siebie samej:

otwieram oczy
tworzę światło zieleni błękit
pachną macierzanki i obietnice
podpełza kurdybanek
(„Świt nad Utratą”)

Portretuje drzewa, widząc w nich indywidualności, obdarzone przychylną dla ludzi energią. Nadaje im więc człowiecze cechy; stoi blisko, przygląda się uważnie i dotyka z szacunkiem, tak iż mamy poczucie autentycznego „braterstwa krwi” nie tylko z brzozą, ale również z wierzbą, jabłonią i dębem.

W utworze „Na skraju lasu”, zadedykowanym poetce Małgorzacie Lebdzie, przyroda jest miejscem przyjacielskiej, wręcz intymnej rozmowy o cierpieniu, która toczy się pomiędzy dwiema kobietami. Las, podobny do wiekowego boru albo prastarej puszczy, udziela im schronienia, aby mogły być przez parę chwil z dala od zgiełku świata i ciekawości ludzi. Las symbolicznie zamyka je w sobie. Nie ma nic ważniejszego niż drugi człowiek, zdaje się mówić poetka, a szczególnie gdy jest to człowiek w potrzebie. Łagodne towarzyszenie i słuchanie stają się tu rodzajem podstawowej, dostępnej każdemu, emocjonalno-duchowej posługi.

W poezji Rzepeckiej reguły, które rządzą naturą i ludzkim losem, często opisują obrazy biblijne, które mają w sobie zdwojoną siłę, symbolu i słowa:

czas dojrzewa
słońce wysokim zachwytem
między morzem i ziemią
w połowie

obraz masz i podobieństwo
żeby stworzyć człowieka
w sobie
(„Dzień szósty”)

Wspomniane wcześniej wewnętrzna energia jak i uroda pejzażu, przyjmowana jako dar, w zachwyceniu, tym bardziej wzmagają dramatyczny wyraz cyklu wierszy „Listy Wymyślonej” – powstałego z inspiracji rozmową z bydgoskim poetą i kolekcjonerem Wojciechem Banachem – gdzie mamy do czynienia z całym spektrum trudnych uczuć, napięć i niepokojów. Wyraziście przemawia do czytelnika, zaznawane przez narratorkę tych utworów: pustka, milczenie i tęsknota, które zmieniają się w stan udręki i ranę serca: *nie / nie znam żadnej terapii która leczy z miłości / tylko nadgarstki opuchnięte od pulsu / kryję w kieszeniach / żeby nie prowokować ostrzy* („List Wymyślonej Pierwszy”). A w innym liście znajdujemy słowa bezwzględne: *ale koszmarem jest życie // nie mija światem* („List Wymyślonej Przedostatni”).

Ludzka egzystencja przepełniona jest bólem. To poprawnie skonstruowane zdanie, zawierające powszechnie znaną prawdę, nabiera ostrości w wierszu, który stanowi analizę choroby neurologicznej i narastającego stanu izolacji:

największe mury wyrastają z pustki

kiedy ubywa ciebie w tobie
słowa nie przynależą do języka
nazwy do przedmiotów
twarze do imion

oczy otwarte szeroko w mrok
(...)
kiedy na ułamek sekundy rozpoznajesz
mnie dłonią
kruszę cegłę
próbuję przejść na twoją stronę
(„36 godzin na dobę”, dedykowane Halinie F.)

Albo inna wersja „sytuacji granicznej”, inspirowana tragiczną postacią poety Rafała Wojaczka: *mówię do ciebie // z pustych ścian schodzą cienie / wszędzie ich pełno / gestnieją w mrok // cały czas mówię // masz taką jasną twarz jakbyś nie widział / zastygłych oczu / paznokci wbitych w pustkę // mówię do ciebie szeptem* („Terapia – dzień księżycowy”).

Alina Rzepecka opisuje rzeczywistość, jakby sięgając do samego sedna własnego człowieczeństwa i kobiecości, ujawniając najgłębsze życiodajne siły i wartości, które niesie w sobie. One stanowią budulec jej intensywniej codzienności, wypełnionej obecnością innych ludzi i celebrowaniem szczęśliwych chwil, a także usilnym dążeniem do szeroko rozumianego dobra i piękna.

Jak boleśnie, choć łagodnie, ale nieubłagane, narodziny każdego dnia kończą się jego zmierzchem – jakkolwiek rozumiemy dzień i zmierzch. A wszystko to zgodnie z kosmicznym porządkiem i logiką, które są tak bliskie jej rozumieniu, matematyki i poetki. Oto doskonały rytm i spokój przemijania, który autorka obserwuje wnikliwie, a jednocześnie w aurze uniesienia. Wszystko, co nas otacza, istnieje dłużej niż jedno ludzkie życie. Scharakteryzowane w wierszach, wspaniałe dzieła architektury, obrazy i drzewa.

A jak nadać sens tej chłodnej doskonałości, której częścią jesteśmy, która nas przenika i przerasta? W utworze „Zaćmienie słońca”, prawdopodobnie poświęconym osobie zmarłej, czytamy:

czekaj w kwadracie okna
jest wystarczająco dużo światła
żeby przepowiedzieć noc zbieła od płatków
dziękuję wiśni
i nienapisanych wierszy

A może jeszcze bardziej wyraziście, bo walka o sens ma wymiar dramatu: *trzeba tylko trzech dni / żeby zmienić obraz świata / małej łzy / wielkiej zdrady / nieskończonej ufności // łatwiej uwierzyć niż wytrwać // pieje kogut* („Dominus Flevit”).

Poetka naznaczona „kresowym genem”, który wyróżnia się mocną wiarą w życie i przyszłość, wbrew tragicznym wyrokom losu i historii, w wierszu „Przed-pamięć (1939)”, pisze:

fotografie wypływały do sepii
nie kłamią

jestem z tego lasu
co ocaleje z rzezi

schylam głowę pod dach wołyńskiej leśniczówki
chronię sny domowników

to ich ostatnia jesień
nie będzie do czego wracać

drzewa więcej wiedzą o przetrwaniu

W utworze „List do Anglii” autorka wróci do własnego dzieciństwa i, patrząc z perspektywy osoby dojrzałej, da wyraz ciągłości pokoleń, a także świętości pamięci, bo czasami tylko ona pozostaje: *nie mogę się doczekać / kiedy przestaniesz być tylko słowem / dziadku (...) mam już pięć lat / sadzę dla ciebie las / na obraz i podobieństwo wołyńskiego // las rośnie wolno / wolniej niż dziewczynki / ale nigdy nie przestaje // zanim przybędzie Batory / zapachną świeże pędy / staniesz wśród nich / smukłym pnion / opowiesz swoją historię*.

Liryki kresowe, które są bardzo wyraziste, umiejętnie nasycone znanymi informacjami – a dzięki temu historycznie rozpoznawalne – oraz faktami z życia wołyńskiej rodziny, budują poetycką sagę, która ma swoją kontynuację pokoleniową na Kaszubach („Tato”). W wierszach tych czas przeszły istnieje równocześnie z teraźniejszością. A malowniczość krajobrazu wokół leśniczówki w Chiczwce przenika dramatyzm zagłady. Pamięć cierpienia, przeżytego przez wcześniejsze pokolenia, jest dziwnym i trudnym dziedzictwem. Może, jednak, tym bardziej cennym?

Z wypracowanej wewnętrznie i kształtującej osobowość siły dobra rodzi się przyszłość, jak w wierszu, którego tytuł stanowi symboliczna godzina „20.00”, zadedykowanym wnuczkowi Filipkowi. Czytamy:

w wiadomościach z ostatniej chwili
przemilczano twój pierwszy krzyk
oraz to że oś ziemi drgnęła nieznacznie
przechylając w stronę nieskończoności
moją głowę

jeszcze nie wiesz jaką moc ma słowo
ssiesz życie kroplami
i zapachem przenikasz do rzeczywistości

kiedyś nawleciesz mi igłę
żebym mogła naprawić rozprutą kieszeń

opowiem ci wtedy
jak słowo stało się miłością

W lirykach Rzepeckiej wycucie pulsu natury i umiejętność jej opisu – możliwe, że powiązane z jej pochodzeniem – są pokrewne wrażliwości na kreację, jaką jest sztuka, a szczególnie malarstwo. Obrazy Vincenta van Gogha, działające formami ekspresyjnymi, nasycone kolorami i kontrastami oraz operujące symbolami, pobudzają jej wyobraźnię i wydaje się, że w niej samej otwierają jakieś nieznane dotąd przestrzenie:

złoto syczy się w niebo
aż gwiazdy brzemienne
sypią się garściami w niebieską dolinę
(„Gwiazdźiste niebo”)

A w wierszu „Wycieczka do Arles” zauważamy, jak *skiby liliowo-brązowej ziemi pieszczą żółte niebo / gdzieś tam tylko butelkowa smuga cyprysów / przepych oleandrów*.

Wspomniane zaś wcześniej efektowne
dokończenie na str. 10

Epitafium...

dokończenie ze str. 9

skrót myślowe autorka umiejętnie wykorzystuje, aby przedstawić w poezji istotę obrazu abstrakcyjnego. Wskazać na podstawowe środki artystycznego wyrazu, takie jak światło, kolor i faktura, które w tym przypadku tworzą jego treść. Poetka wpatruje się w płótna Jerzego Puciaty, jednego z najbardziej znanych polskich malarzy współczesnych, a także animatora kultury i społecznika, pochodzącego z Wileńszczyzny, który kilka lat po zakończeniu II wojny światowej i zmianie granic osiadł najpierw w Toruniu, a potem w Bydgoszczy. Rzepecka pisze:

zielenoskóre tęsknoty
mieszkają w twoich dłoniach
nie pozwalają milczeć

wiedzą gdzie kończy się odwaga
i ile jeszcze razy
możesz bezkarnie rozkołysać taflę
by zmienić bieg światła

w zdumieniu odnajdujesz
porzucone wczoraj słowo

jedyny dowód na istnienie grawitacji
(„Spotkanie z malarzem”)

Uwagę czytelnika zwracają wiersze wyraźnie „zsyntetyzowane”, które – patrząc z perspektywy – charakterystyczne były dla pierwszego etapu twórczości poetki, z czasem jednak formą jej wypowiedzi uległa rozwinięciu i wzbogaceniu. Obecnie te krótkie utwory, czasem składające się z dwóch, trzech wersów, przypominające haiku, wplecione pomiędzy teksty dłuższe i z nimi skontrastowane, wręcz uderzają trafnością opisu lub refleksji, co jest wprost proporcjonalne do ich myślowego skrótu. Tak jest w utworze „Bezdomność”, gdzie znajdujemy słowa: *tyle drzwi / od klamek wieje chłodem*. Albo też w innym wierszu, „Mak”: *złamałam wiotką łodygę / nie krwawiła // śmierć spłynęła bielą*. A najbliższą relację, w momencie emocjonalnego spięcia, przedstawia następująco:

*** uderzam w stół

nożyce twoich słów
tną powietrze do krwi

opatruję rany chlebem

A może rzeczywiście sensem życia jest samo życie? – jak napisała w latach szkoły podstawowej w moim dziewczęcym pamiętniku wychowawczyni i nauczycielka języka polskiego, pani Sz. I może wszystko, co najważniejsze, dzieje się każdego dnia? W utworze bez tytułu znajdujemy taką sytuację: *kobieta w kuchni obiera jabłko / obejmuje dłońią cały świat / doświadcza go wszystkimi zmysłami / dzieli na części / obdarza tych których kocha / powtarza raj // na stole serpentyna skórki / cień węża*. W „Erotyku z bursztynem” natomiast podmiot „prawdziwie liryczny” wyznaje: *jestem wyspą / pozwalam ci / zawładnąć moim wszechświatem // nie obawiam się sztormów / są tylko po to / byś mógł mnie obdarować bursztynem*.

Alina Rzepecka próby objęcia słowami

rzeczywistości i ludzkiego losu podejmuje, zainspirowana powracającym w jej poezji motywem fali: łagodnie, niepokojąco, burzliwie i wielokrotnie. Kierując się wewnętrznym przekonaniem o tym, że warto szukać odpowiedzi i to, w pewnym sensie, ciągle na nowo, bo czas nas zmienia. W rytmie przypływu i odpływu. Poetka patrzy na własną egzystencję, stojąc na morskim brzegu z wyznaczoną, w oddali, linią horyzontu albo spoglądając z najwyższego górskiego szczytu w przestrzeń, jak to widzimy w bardzo symbolicznym wierszu „Lęk wysokości”, zadedykowanym Wandzie Rutkiewicz. Słusznie przy tym sugerując, że każdy ma własne „punkty obserwacyjne i refleksyjne” oraz że odmienne są szczyty ludzkich możliwości. Ale podstawowe pytania pozostają podobne.

Wygląda jednak na to, że określić i zdefiniować, w ograniczonym zakresie, możemy jedynie siebie, własną codzienność i bliskie otoczenie. I stąd, jak można sądzić, odnajdujemy w wierszach Rzepeckiej zazwyczaj bliskie

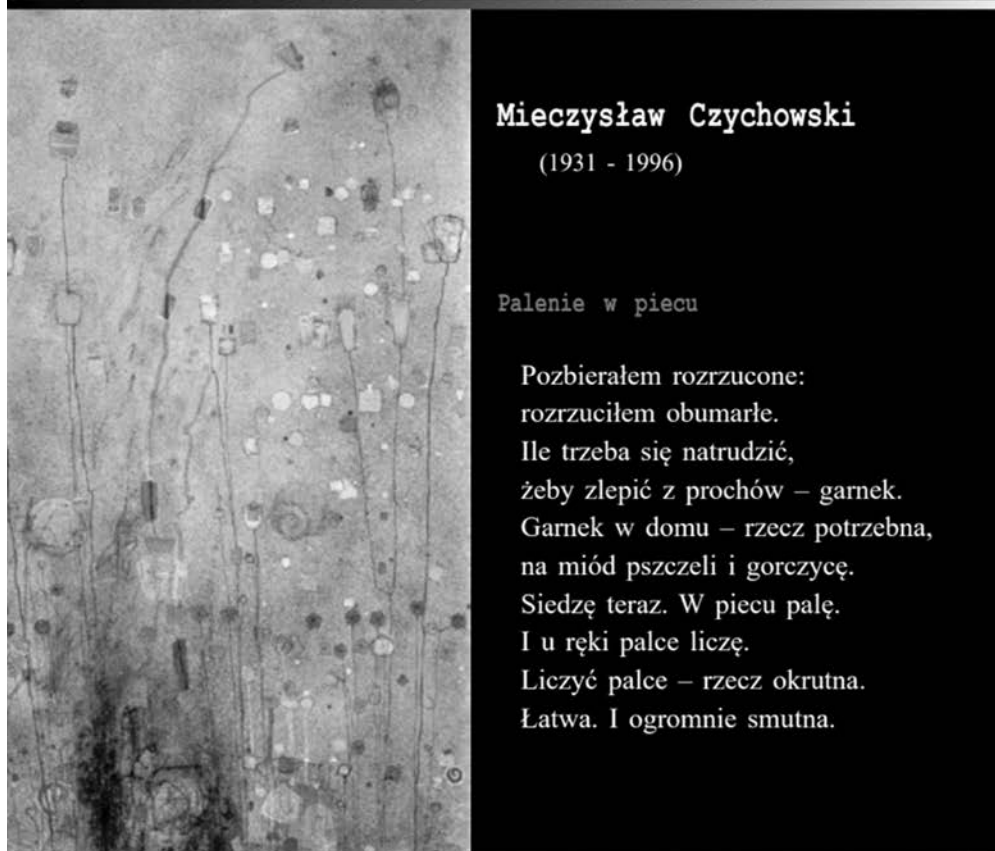
ujęcia i krótkie perspektywy. Zawsze jednak mają one swój początek w skupionym i głęboko przeżywającym rzeczywistość podmiocie. Narratorka tych wierszy uznaje własną bezsilność i przemijanie. Życie w „stanie zmienności i zawieszenia”. W sobie samej więc stara się szukać równowagi, pogody i pewników. W utworze „Punkty styczności” czytamy:

reguły zawodzą
oddalenie jak rana
inicjuję lęk

wyskubuję pasemka z osnowy
wplatom miłość
mocniejszą od nienawiści
próbuję odnaleźć zagubionych ocalić przegranych

A w innym liryku dodaje: *żadne dno nie jest ostateczne / w rozpadlinach odradza się życie // we mnie („Zasolenie”)*. ♦

Pierwszy wśród literackich kwartalników



Mieczysław Czychowski

(1931 - 1996)

Palenie w piecu

Pozbierałem rozrzucone:
rozrzuciłem obumarłe.
Ile trzeba się natrudzić,
żeby zlepić z prochów – garnek.
Garnek w domu – rzecz potrzebna,
na miód pszczeli i gorczyce.
Siedzę teraz. W piecu palę.
I u ręki palce liczę.
Liczyć palce – rzecz okrutna.
Łatwa. I ogromnie smutna.

W numerze prezentujemy prace Danuty Joppek
Plakat poetycki: Artur D. Lisowski, Do czego służą wiersze

Plakat: Danuta Joppek

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2026

Adres redakcji: 80-419 Gdańsk, ul. Dubois 59
e-mail: joa@migotania.pl, tel. 601 840 302

Renata Mosionek**Dziady**

na tym zagonie gdzie jeszcze niedawno księżę jałowiaki pasano stanął krzyż
proporc na dwa metry wystrugał zwinny Jaś
dopieszczając jezusową koronę tak aby kolce nie chropowaciały głowy Najwyższego

wciąż nie ma kaplicy w której schronienie znalazłyby płaczki i inne
czarnogłowe lamentnice które nad dusz ludzkich poniewierką odmawiają pacierze
tak że nawet listopadowa zawiejka niestraszna

przywłókł się dziad na groby co by pojeść kapkę
i wypić okowity z durszlaka
toć to tryzny o ubłaganie za dusze czyścicowe
baby poczyniły

Anno nie podnoś tego co spadło
niechaj zabiedzona istota zza świata weźnie se skibeczkę choćby i tego chleba
co się pod kredens stoczył
a i kapusty nie trza deptać bo jeszcze ki lichu na zgubę domostwa przybierzy

ojciec już dwa lata jak leży a jeszcze ni razu ognie nie zapłonęły na grobie
dziadyga leż żesności na pohybel złego uronić nie zdołał
idźże za wieś na górkę
idźże za wieś po zmroku

Ostatni

spójrz Lucyno jak z komina bucha czarna smuga dymu
to przepalone sadze niczym czarne muchy osiadły w kąciach oczu
nie pocieraj rąbkiem fartucha bo zatrziesz

już dwa razy uśmierciłaś tego który kochał
raz kucając pod miedzą wydałaś na świat syna
grzebiąc go w wilgotnej ziemi nieświadomie przypieczetowałaś los ojca

druga śmierć przyszła gwałtownie
rozdzierając cienką koszulę
tam gdzie lżejsza fastryga postrzępiona na udach
ślad po nierównej walce na życie i życie

może z kimś przetańczysz od drugiego początku do szczęśliwego końca
aby w ostatniej godzinie móc powiedzieć
wygrałam

Urszula Borowska**Czekanie**

Kim jesteś pytam i podnosi na mnie oczy w nich stopy i przestrzeń w nieznane
Żadnej studni w której można byłoby zamoczyć dłonie schłodzić czoło
Granice przesuwają się pod kopytami
Siadam tu każdego ranka

Kim jesteś pyta ten który przechodzi i wylewa się rzeka i ziarno
Konie uderzają w galop
Ziemia dudni pod uchem
Rozpinam namiot
I gestem zapraszam go do środka

Piotr Szczepański**oderwanie**

dzisiaj
cisza wraz z kotami
która pokotem
odłazi od ścian
uwaga
nie impertynencko

ile za to cicho
jak długo
kiedy przyjdzie zapłacić
małomównie

ażurowy
jak klatka piersiowa
pajaka
człowiek ledwo uchodzi
z kluczem

deszcz
wbiega na palcach
coraz wyżej
jakby niczego
nie ważył
nie zważał na noc
nie widział

kończy
nad miastem
nad dachami
zdzięsiatowany
przez słońce

słono płaci
za małe kroki
w chmurach

Dariusz Malach

Nikomiu

ty synku już
nie przejdiesz
przez bramę ogrodu
ujęła cię za ręce
chłodna żona Lota
za wcześniej
jeszcze drogi kęs mały
pozostał

a on tak cicho szedł
i ja strwożona
przepełniona nadzieją
prędką jak jaskółka

ty synku pozostaniesz
na tym innym brzegu
i twoje ciało
serce
nie moje nie jego
sen szarpać będzie
nocami mrocznymi
za morze słońce
cień światła na wargach
pozostaniesz jak ona

wiatr ci włosy
potarga...

Chłopcę ciekawość – opowiadanie



Siedmioletni Janis, który dla babci był wciąż jeszcze Januszką, świeżego mleka od krowy za darmo już nie pił.

Krowy w gospodarstwie pasły się przy domu na łące graniczącej z sadem, która ze wszystkich stron oddzielona była okólnikiem z sosnowych żerdzi. Jedynym powierzonym mu przez ojca zadaniem było, by ich pilnował i nie pozwalał przedzierać się do sadu, gdzie w pobliżu dojrzewały owoce jabłek i gruszek. Krowy szczególnie chęć zawsze przejawiały do jabłek i wcale im nie przeszkadzało, że były jeszcze kwaśne. Wiedział już od ojca, że ten smakołyk traktują jak wszystko co zielone, jak trawę. I to nie tylko chodzi o to, że ściągając owoce z gałęzi czynią szkodę, ale też owoce te mogą im wyrządzić krzywdę, gdyż podobnie jak ziemniakami, czy złe pokrojonymi burakami, krowa może się nimi niebezpiecznie zadławić.

Odganiał więc je przy pomocy kija, którego nie wypuszczał z rąk także dlatego, że służył mu do zabawy. Gdy krowy oddalały się w głąb pastwiska, podbiegał do płynącego przez łąkę strumyka i mieszając nim wodę, płoszył pojawiające się w nim rybki, cierniki i kozy.

Zabawa ta zresztą niebawem mu się znudziła, krowy najwyraźniej podjadły sobie trawy na tyle, by zaspokoić przedpołudniowy głód i napiwszy się wody ze strumienia, skierowały się do cienia pod olbrzymią rosnącą tam samotnie dziką gruszą. Mułka się położyła, a Łaciata stała nieruchomo przy niej, odganiając zamaszystymi ruchami ogona muchy, które najwyraźniej dokuczały i jednej, i drugiej.

Januszek w przeświadczeniu, że polecenie ojca wykonał, krowy w żadną szkodę już nie wejdą, wybiegł na drogę i zaczął się rozglądać. Za pasem pegeerowskich pól z dojrzewającym zbożem pojawiły się sarenki, które wyszły zapewne z pobliskiego zagajnika. Nie było tam daleko więc dla czegośby nie zobaczyć, gdzie mają siedlisko? Ciekawość takiego chłopca jest zazwyczaj wyjątkowa i nie zawsze da się ją zaspokoić.

Poza tym to nie tylko krowy powinny stanowić troskę ojca, ale i syn, którego najlepiej też nie spuszczać z oczu.

Nie upłynęło więcej jak godzinę, gdy babcia powędrowała do ogrodu, niosąc w zapasce świeżo upieczone ciasteczka, które zawsze piekła dla wnucząt przy okazji wypieku chleba. Januszka tym razem przy niej nie było, w jej mniemaniu nie pojawił się od dłuższego czasu więc podchodząc do zięcia, zapytała: Kaźmirz, a gdzie Januszek?

– Na łące, krów pilnuje – odparł krótko ojciec, zajęty przygotowywaniem południowego obrządku trzody.

– Kaźmirz! Nie ma go tutaj!? – Dał się słyszeć z ogrodu głos babci Cecylii.

Ojciec początkowo nie przejął się zbyt, ale widząc niepokój teściowej, która przemierzyła całe obejście, nawołując wnuka, sam włączył się do poszukiwań.

– Gdzie ten piorun mały mógł pójść? Kazałem mu siedzieć na łące razem z krowami i pilnować, by nie zrobiły szkody w sadzie...

W zagajniku sarenek nie było. Nie było ich nad stawem przy zagrodzie Szczepanika, którego gospodarstwo było najdalej oddaloną na wsi zagrodą stojącą w sąsiedztwie lasu. A ten las rozciągał się od jego gospodarstwa hen daleko na zachód aż do najbliższej wsi oddalonej od Ślizowa około siedmiu kilometrów.

Siedmiolatek znał już go trochę, gdyż ojciec zabierał go czasami na wóz, wybierając się po drzewo na opał. Latem uczył syna, gdzie rosną grzyby, jak i kiedy je zbierać, a niekiedy razem z matką i jego siostrą Urszulą podwoził ich do lasu na jagody. Zbierali wtedy je razem przez większą część dnia, by potem sprzedać w Centrali Ogrodniczej.

– Poczekamy, na pewno gdzieś poszedł do któregoś z dzieciaków sąsiadów. Albo na wieś? Tylko po co? – uspakajał babcię, która zdążyła już swym niepokojem zarazić córkę Heńkę.

Matka Januszka nie była tak spokojną kobietą, jak spokojnym był jej mąż. Krzykiem przywołującym syna obiegała raz jeszcze całe gospodarstwo, a potem zaczęła pomścić. A to na chłopca, który nie posłuchał ojca, a to... na ojca, który nie do końca może rygorystycznie wyjaśnić mu, co ma robić przy krowach, gdy przestaną chodzić po łące i schronią się przed upałem w cieniu dzikiej gruszy.

– Już ja mu dam, jak się pojawi! Skórę mu wygarbuję! – zaczęła obiecywać głośno, co wywołało oburzenie jego babci.

– A już ci! Zaraz byś biła. Nie biłaś go dotąd i było dobrze. Pomyśl lepiej, gdzie jeszcze możemy go szukać...

Na skąpanej słońcem polanie nie było sarenek, ale za to odbywał się tam interesujący koncert. Słychać było rozchodzące się echem po lesie stukanie dzięcioła, śpiewał – pewnie kos – ale go widać nie było i dał się wypłoszyć zająć. Szarak pobiegł w stronę gęstej głuszy, w którą chłopiec zapuszczać się nie zamierzał. Ale... w bok od polany odchodziła wyraźnie wydeptana przez dzikie zwierzęta ścieżka, prowadząca do strumienia płynącego w kierunku stawu starego Szczepanika.

Szczepanik był myśliwym. On jeden we wsi miał pozwolenie na strzelbę, której zapewne bały się wszystkie żyjące tam dzikie zwierzęta.

To przed starym Szczepanikiem niedawno przestrzegał go ojciec: – Pamiętaj, nie łaz tam na łąkę tego starego kłusownika, ani nad staw, bo on z fuzji do chłopaków strzela z soli. Ty wiesz, jak to boli, jak się takim nabojem ze solą dostanie w tyłek? Chłopak od Gąsków niedawno oberwał, to przez tydzień potem tyłek w misce z wodą moczył.

Januszek nie zamierzał więc leżeć w

stronę stawu, gdzie mógłby narazić się staremu kłusownikowi – jak nazywał mu ojciec. Ale ścieżka wzbudziła w nim ciekawość. Co po niej chodzi, no i... dokąd tak naprawdę ona prowadzi?

Pokonując wysokie pojedyncze kępy trawy, dotarł do pasa gęstych krzewów leszczyn rosnących nad strumieniem. Orzechy wiszące gęsto w zwartych zielonych kiściach, ozdobionych koronkowymi brzegami koszyczków były jeszcze nie-dojrzałe, co mógł łatwo sprawdzić, gdyż oblepione nimi gałęzie sięgały do samej ziemi. Pod leszczynami brzeg strumyka pokrywał jedynie mech i jakieś drobno kwitnące roślinki, a dalej?... Dalej widoczny był przepust i leśna droga. Ta sama, którą jeździli z ojcem wozem z pola, przy szosie pod lasem prowadzącej z Dziadowej Kłody do wsi.

Zadowolony ze swojego odkrycia chłopak poczuł się swobodniej i usiłując skrócić sobie ostatni odcinek leśnego ostępu wszedł na wąską, wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę przy drodze. Muszę tutaj przyjść, jak dojrzeją orzechy – pomyślał. I w tym samym momencie poczuł przeszywający ból, obezwładniający jego ciało. Jakiś drut, jakieś paskudne żelastwo opasało mu nogi i powaliło go na ziemię.

Przerażonemu dzieciakowi udało się usiąść, ale... druciana pułapka mocno trzymała mu nogę, a kawał drutu utkwiał w okolicy podbrzusza. Na jego spodniach pojawiła się krew.

– Kierski! Kierski! – niósł się z drogi krzyk leśniczego, który siedząc na bryczce, gonił konia w stronę zabudowań ojca Januszka. – Jak wy do cholery pilnujecie dzieciaka?!

Bryczka leśniczego zatrzymała się pod bramą. Gospodarz, a za nim kobiety wybiegły z podwórza, a przerażona matka zaczęła głośno lamentować: – Matko Boska! Matko Boska, panie leśniczy, co się stało?! Skąd u pana moje dziecko?

– Nie matkoboszczyć! Nie matkoboszczyć – powtarzał leśniczy – tylko, gospodyni, ratujcie dziecko!

– Co mu się stało panie Dachowski? – z trudem wydobywając głos z krtani zapytała babcia chłopca, która pierwsza podbiegła do leżącego na tylnym siedzeniu bryczki zapłakanego wnuczka.

– Skąd on się wziął sam w lesie?! – dopytywał się leśniczy. – Chłopak wpadł w sidła zastawione przez jakiegoś kłusownika. Ledwie go wypłatałem. Dobrze, że akurat przejeżdżałem tamtędy i usłyszałem jego lament. Darł się w niebogłose, jak usłyszał moją bryczkę. Zaprzęgajcie szybko konia i trzeba go zawieźć do szpitala, bo jest pokaleczony.

– o Jezusie! O Jezusie! Zabić takiego skurwysyna, co stawia sidła na dzieci – nie mogła się uspokoić matka Januszka.

– Gdzie go pan znalazł?... Gdzie ty żeś polazł?! Miałeś pilnować krów na łące... – Ojciec, zamiast gonić do stajni po konia, dociekał prawdy o zaginięciu chłopaka. A Januszek, zamiast odpowiadać, jedynie zanosił się szlochem.

Babcia szybko ogarnęła go swoją zapaską i biorąc na ręce, zamierzała pójść z nim do domu, ale leśniczy powstrzymał ją. – Połóżcie go na ziemi i najpierw zobaczcie, co mu jest. Dzieciak krwawi.

Spróbujcie go opatrzyć. Ma poszarpaną skórę na nodze i ranę w kroczu. Musi jak najszybciej obejrzeć go jakiś doktor, żeby nie zrobiło się zakażenie...

– A pan by nie podjechał do szpitala z nami? – zapytała babcia, kierując wzrok na bryczkę.

– Ja i tak już dużo zrobiłem! I mam inne obowiązki, niż jechać jeszcze do Sycowa – obruszył się leśniczy. Na co matka chłopca podeszła tylko do niego i chwytając mu rękę, ucałowała jego dłoń. – Dziękuję panie Dachowski. Dziękuję.

Kobiety obejrzały chłopca i zanim jego ojciec przygotował furmankę, opatrzyły wstępnie rany zadane dziecku przez zbrodnicze narzędzie kłusownika. – Matko Boska! Matko Boska! – dało się tylko przy tym słyszeć, jak rozpacza jego matka. – Ten skurwysyn zrobił mi chyba z syna dziewczuchę. – Kaźmirz! Śpiesz się! Jedziesz z nim sam do doktora, bo to twoja wina!

– Ja sam? – Kierski był wyraźnie zaskoczony. – A kto kastruje nasze młode prosięta?! – zapytała Heńka – On ma ranę w kroczu. Ty chłop lepiej wyjaśnisz doktorowi, co ten zbrodniarz zrobił naszemu dziecku...

– Nie kłóćcie się! I nie wyrokuj na wyrost! – Babcia Cecylia skarciła córkę. – Ja z Kazimierzem pojedę! – zadecydowała i tuląc do siebie wnuczkę owiniętego w stary koc wdrapała się na furmankę, zajmując miejsce na ławce za woźnicą. – Jedź Kaźmirz! I niech Bóg prowadzi – dorzuciła po chrześcijańsku.

Gdy zajechali pod szpital w Sycowie, Kaźmirz zaniósł poranionego chłopaka do lekarskiego gabinetu. I niewiele musiał wyjaśniać lekarzowi, bo doświadczony chirurg, jakim był doktor Jakimowicz szybko sam zorientował się w sytuacji. Wypowiedziane wcześniej opinie matki Januszka, że jego ojciec zna się lepiej na prosięcych jąderkach, do niczego się nie przydały. Jedynie wbiły się w pamięć chłopca, który potem dorastając, skrycie oglądał sobie krocz i długo trwał w niepewności. Nie czy jest nadal chłopcem, czy dziewczyną, bo to po opatrzeniu ran doktor mu objasnił, mówiąc do niego pamiętne słowa: – No smyku, miałaś szczęście, że te siidla nie pozbawiły cię przyrodzenia. I że trafiłeś na mój dyżur w szpitalu.

Chłopaka trapiła w wieku dorastania tylko obawa, czy... będzie w przyszłości płodny, co kilkakrotnie w przypadkowych okolicznościach w jego obecności podważała matka.

Doktor Jakimowicz nie był w stanie jednak bezproblemowo opatrzyć chłopca. Januszek przetrzymany został przez parę dni w szpitalu. Oczywiście nie utrwaliło mu się w pamięci nic, co dotyczyłoby opatrzenia ran, gdyż został wcześniej uspiiony, podano mu też zastrzyk przeciwko tężcowi i dopiero po podgojeniu szwów i ustaniu temperatury, oddano ponownie pod opiekę rodziny.

W niedługim czasie po ranach zadanych chłopcu przez kłusownika prawie nie było śladu. Pozostała jedynie przykra nauczka, że leśne porośnięte chaszczami ścieżki nie zawsze są bezpieczne, a samodzielne wycieczki do lasu zawsze mogą nieść jakieś zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia. ♦

Anita Nowak

Wnłô Bńskô

„Wnłô Bńskô” w reż. Jarosława Kiliana z Teatru Wielkiego - Opery Narodowej na XXXII Bydgoskim Festiwalu Operowym.

Zanim do końca zgasną światła wśród publiczności pojawia się piękna starsza kobieta w malowniczym kaszubskim stroju, który podkreśla też smukłość jej sylwetki, i przez chwilę snuje się po sali z nikłym uśmiechem na twarzy, kryjącym nieznaczne nuty smutku, a nawet prawie niewidoczne iskierki rozpacz. To genialnie zagrana zapowiedź wydarzeń, które pojawiają się za chwilę na scenie. Jakże wielką trzeba być aktorką, żeby tak subtelnie i delikatnie przeniknąć do akcji, niczym uwerwura, spojrzeniem tylko zasugerować kwintesencję zbliżającej się tragedii. To wspaniałe wejście Danuty Stenki w spektakl *Wnłô Bńskô*.

A i potem artystka cichym, ale cudownie modulowanym głosem przepięknie jako matka opowiada historię nieszczęśliwej miłości dwojga zakochanych w sobie młodych ludzi; historię, która kończy się śmiercią obojga niedoszłych kochanków. Stenka kreuje postać złej matki młodziutkiej Hanuszki za wszelką cenę, w imię woli bożej, dążącej do rozdzielenia córki z Jaśkiem. Mówi w cudownie, jak muzyka brzmiącym w jej, rodowitej Kaszubki ustach, języku ziomek, tak że wpatrującym się w nią widzom, nie bardzo nawet chce się czytać wyświetlane nad sceną tłumaczenie. Wiele poetyckich wtrętów też nuci. Bo spektakl został przez Damiana Wilmę i Jarosława Kiliana oparty na kaszubskich pieśniach.

Dlatego też warstwę narracyjną równowagę w spektaklu warstwa muzyczna. Urzekająca urodą i bardzo oryginalnym brzmieniem skomponowana dla jego potrzeb przez Łukasza Godylę, a wykonywana przez Karolinę Tańską, Aleksandra Teligę na fortepianach oraz Katarzynę Bojaryn-South i Krzysztofa Szymańdę na instrumentach perkusyjnych pod batutą Grzegorza Brajnera, brzmi fantastycznie, a w niektórych momentach wręcz zaskakująco nowoczesnie, a mimo to doskonale dopasowuje się do starych pieśni wykonywanych porywającym barytonem Damiana Wilmy, który stanowi ciekawe przeciwstawienie brzmieniowe dla spokojnej narracji Danuty Stenki jako Białki.

Do muzyki, ale i w dużej mierze do słów bohaterów dopasowują się też ruchy pary tancerzy Julii Witczak i Jakuba Piotrowicza, uosabiających duchy zmarłych kochanków, którzy dzięki przepięknej choreografii Anny Hop i bardzo malowniczym kostiumom Izabeli Chełkowskiej sprawiają wrażenie istot naprawdę unoszących się w zaświatach i stamtąd powracających do miejsc, w których niegdyś żyli.

Izabela Chełkowska razem z Maciejem Igielskim poprzez oprawę plastyczną całości i przydawanie klimatu światłem, idealnie przenoszą nas w tajemniczą, a chwilami nawet ponurą, scenerię Kaszub.

Ten spektakl to osobliwy klejnot na tle współczesnej dramaturgii i głęboki ukłon artystów w kierunku prezentacji kultury narodu kaszubskiego. ♦

Stanisław Dłuski

Poczucie osobności

Współczesna poezja polska jest dziś bardzo rozproszona — dużo w niej doraźności, publicystyki emocjonalnej albo językowych gestów wykonywanych już trochę z rozpędu. U Agi Zano rzeczywiście pojawia się głos, który nie brzmi jak echo aktualnych mód.

Jej debiut „czwarte wymieranie” został od początku zauważony jako książka dojrzała, co w przypadku debiutu nie zdarza się często. Sama autorka mówiła o potrzebie „spójnej struktury” i pracy z ograniczeniem formy, traktując tom jako jeden wielogłosowy organizm, a nie zbiór przypadkowych wierszy. To czuć: te teksty nie są „notatkami lirycznymi”, tylko próbą zbudowania własnej przestrzeni sensu.

Masz też rację, wskazując na połączenie metafizyki z konkretem. To chyba jeden z jej najmocniejszych atutów. U Zano rzeczy, miejsca, kamienice, migracje, pamięć „ziem odzyskanych” nie są wyłącznie tematami społecznymi czy historycznymi. One zaczynają drgać metafizycznie — jakby pod powierzchnią codzienności znajdowało się pytanie o istnienie, trwanie, zanik, dziedziczenie pamięci. Nie jest to jednak metafizyka wzniosła czy ornamentalna. Raczej cicha, podszyta niepewnością.

Ważne wydaje mi się też to, że jako tłumaczka Sylwii Plath czy Virginii Woolf ma bardzo wyczułone ucho na rytm i strukturę języka. Ale — co istotne — nie słyhać w tych wierszach prostego naśladownictwa anglosaskiej poezji konfesyjnej. Zano nie „spowiada się”. Jej liryzm jest bardziej rozszczępiony, momentami chłodny, zbudowany z niedopowiedzeń i urwanych napięć. W jednej z recenzji zwrócono uwagę, że sedno tych wierszy ukrywa się właśnie w tym, co przemilczane i niedokończone.

Ciekawe jest również to, że jej poezja nie próbuje za wszelką cenę szokować ani demonstrować „nowoczesności”. A mimo to wydaje się nowa. To rzadszy przypadek niż się wydaje. Wielu poetów próbuje zdobyć uwagę przez ekstrawagancję języka albo ideologiczne zaostrenie tonu. U Zano siła bierze się raczej z koncentracji i zaufania do obrazu.

Czy to „jeden z najważniejszych debiutów ostatnich lat”? Być może jest jeszcze za wcześnie na tak mocny werdykt — literatura potrzebuje czasu, żeby oddzielić pierwsze zachwyty od trwałości. Ale można powiedzieć uczciwie: to debiut, który wygląda na początek czegoś większego, a nie jednorazowy błysk. I to już bardzo dużo. ♦

Stanisław Dłuski

Elegia za Matkę

Twoje sny
Twoje ostatnie dni
Ojciec w białej koszuli
mówił: pilnuj domu
ale dom już nie był nasz

Piękny akord na powitanie

XXXII Bydgoski Festiwal Operowy otworzył spektakl niezwykle „Łucja z Lammermooru” Gaetano Donizettiego dzieło, którego prapremiera odbyła się w neapolitańskim Teatro San Carlo w roku 1835 i grany był potem na wielu scenach całego świata. Motyw zwaśnionych rodów, których dwoje potomków musi umrzeć w efekcie sięgnięcia po zakazaną im przez krewnych miłość, znany jest szczególnie dobrze z „Romea i Julii” Szekspira, ale podejmowany i wcześniej, i później przez wielu innych twórców, librecista Salvatore Cammarano, idąc za klimatem powieści Waltera Scotta, umieścił w mrocznym klimacie północnej Europy, przez co inscenizacja tragicznych, opartych na okrucieństwie, przemocy i męskiej dominacji nad kobietą wydarzeń, stała się szczególnie przytłaczająca, zwłaszcza na tle momentami tragicznie i złowieszczo brzmiącej muzyki fantastycznie współgrającej z emocjami bohaterów w wykonaniu Orkiestry Opery Nova pod batutą Tomasza Tokarczyka.

Thaddeus Strassberger światowej sławy reżyser, scenograf i kostiumolog w jednej osobie, stworzył na bydgoskiej scenie dzieło będące szczytem doskonałości nie tylko reżyserskiej, ale też artyzmu i wizualnej oryginalności. Urodą zachwycą a podtekstem przeraża malownicza scena w jednym z pokoi rodziny Asthonów, będąca protestem przeciw okrutnym, charakterystycznym dla XVIII wieku pseudonaukowym eksperymentom. Szklane gabloty, w których umieszczono kolorowe wypręparowane martwe ptaki i malowidło w głębi sceny, wykonane przez specjalnie sprowadzonego z Włoch angielskiego artystę Paolino Libralato, stanowiące aluzję do słynnego obrazu „Eksperyment z pompą próżniową” Josepha Wright of Derby. Zachwycą scena z lampionami. Ale w całkowite oniemienie wprawia już scena z wirującymi kawałkami rozbitego lustra, symbolizująca rozpad osobowości wpadającej z rozpacz w obłęd bohaterki.

Z minuty na minutę widzowie są za-

skakiwani coraz to bardziej fantastycznymi pomysłami inscenizacyjnymi i ciekawymi, coraz też bardziej perfekcyjnie wykonanymi i wykorzystywanymi rekwizytami czy kostiumami. Zachwyt budzi pojawienie się precyzyjnie śpiewającego i z ogromną gracją poruszającego się w tańcu, na czarno odzianego w wytworne, wykonane z niezwykłą perfekcją, zapowiadające żałobę stroje Chóru. Wzrusza przepięknie haftowany welon ślubny Łucji, który w chwili jej śmierci, staje się całunem. Bardzo różnie prezentowała się niestety premierowa obsada.

Przepięknie, chwilami niebiańsko wręcz śpiewającej sopranem koloraturowym ślicznej Yulii Zasimowej przydzielono do roli kochanka dobrze akceptowalnego w operach komicznych, ale absolutnie nie do przyjęcia, i to tak ze względu na nieładne brzmienie głosu, jak i zupełnie nie amantkie warunki fizyczne, w partiach lirycznych Szymona Ronę. Czyżby, jeśli już nie w Polsce, to choćby też gdzieś za granicą, nie było tenora o przyjemnym głosie i empoli amanta, dzięki któremu sceny miłosne byłyby wiarygodnie prezentowane? Też niezbyt silnym tenorem, ale za to znakomitymi warunkami fizycznymi wielką przeciwwagę dla Edgara stanowił Lord Artur Sebastiana Macha. Aż trudno uwierzyć, że nie jego akurat Łucja wybrała.

Pięknie brzmiał baryton Bartłomieja Kłosa w postaci Henryka, a jego dobre aktorstwo sprawiło, że publiczność zniechęciła okrutnego brata dziewczyny. Ciekawym tenorem brzmiał wspierający podlego Henryka Michał Ryguła jako wielki łowczy Norman. Fantastyczną kreację i wokalnie i aktorsko stworzyła w premierowej obsadzie jako Alisa, powierniczka Łucji, nasza wspaniała mezzosopranistka Katarzyna Nowak-Stańczyk, w pięknie zresztą zaprojektowanym i przez artystkę ogrywanym kostiumie. Wspaniale w postać duchownego Rajmunda wcielił się śpiewający głębokim basem Janusz Żak.

Ten spektakl zapewne na długo pozostanie w pamięci festiwalowej publiczności. ♦

Przemiany po 1989 roku

Po 1989 roku nie tyle „pojawiły się” nowe formy artystyczne, ile zmieniły się warunki ich powstawania — a to zwykle jest ważniejsze niż same etykiety. Upadek systemu komunistycznego w Polsce oznaczał koniec silnej presji ideologicznej, ale też utratę wyraźnego przeciwnika, wobec którego sztuka mogła się określać. Literatura przestała być polem walki o wolność wprost, a zaczęła szukać nowych języków opisu rzeczywistości, która nagle stała się bardziej płynna, rozproszona i trudniejsza do uchwycenia.

Pojęcia takie jak neoklasycyzm, „barbarzyńcy”, neolingwizm czy ponowoczesność są próbami nazwania tych przemian, ale same w sobie nie tworzą jeszcze jakości artystycznej. Neoklasycyzm, obecny choćby w poezji Zbigniewa Herberta czy Jarosława Marka Rymkiewicza, był raczej powrotem do form uporządkowanych, do tradycji i ładu, który miał przeciwdziałać chaosowi współczesności. Nie był więc „nowy” w sensie formalnym, ale zyskiwał nowe znaczenie w zmienionym kontekście historycznym.

Z kolei „barbarzyńcy”, czyli poeci związani z pismem „brulion”, jak Marcin Świetlicki czy Jacek Podsiadło, proponowali język bardziej potoczny, surowy, momentami brutalny. Ich gest polegał na odrzuceniu wysokiego tonu i literackiej pozy, co można uznać za istotną zmianę — choć i tu trudno mówić o absolutnej nowości, raczej o przesunięciu akcentów. Literatura zaczęła mówić głosem ulicy, prywatności, codzienności, bez ambicji tworzenia wielkich narracji.

Neolingwizm natomiast zwrócił uwagę na sam język jako tworzywo i problem. Poeci zaczęli eksperymentować z jego strukturą, ujawniać jego sztuczność, grać znaczeniami. Było to częściowo inspirowane wcześniejszymi awangardami, ale w nowych warunkach nabrało innego ciężaru — język przestał być przezroczystym narzędziem, a stał się miejscem niepewności.

Najszerzym pojęciem jest ponowoczesność, która obejmuje fragmentaryczność, ironię, brak jednego centrum sensu. Po 1989 roku polska literatura wyraźnie weszła w ten nurt: zrezygnowała z jednego obowiązującego stylu czy tematu, otworzyła się na różnorodność, mieszanie konwencji, zabawę formą. Jednak ponowoczesność to raczej diagnoza niż program — opis stanu kultury, w której wszystko już było i wszystko można przetwarzać.

W tym sensie odpowiedź na pytanie o „nowe formy” musi być ostrożna. Po 1989 roku nie doszło do rewolucji na miarę awangardy XX wieku. Zamiast tego pojawiła się wielość strategii, które reinterpretują tradycję, przesuwają granice języka i zmieniają relację między autorem a rzeczywistością. Nowość polega więc nie na wynalezieniu czegoś całkowicie nowego, lecz na innym użyciu tego, co już istnieje.

Być może najważniejszą zmianą było właśnie to: literatura przestała mieć jedno zadanie. Nie musi już reprezentować narodu, walczyć o wolność ani wskazywać sensu. Może być prywatna, niejednoznaczna, rozproszona. I to właśnie ta wolność — czasem dezorientująca, czasem twórcza — jest najpełniejszą odpowiedzią na pytanie o sztukę po 1989 roku. ♦

Współpraca z Autorami i Czytelnikami „Akantu”

Przekazując materiały do redakcji „Akantu”:

- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.

– autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Akantu” zapraszamy do wsparcia finansowego naszego czasopisma.

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać oraz drukować Wasze teksty. Przyjaźń i solidarność ludzi kultury pozwoli przetrwać kulturze w tym skomercjalizowanym świecie.

Nr konta bankowego wydawcy, czyli Towarzystwa Inicjatyw Kulturalnych: 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Małgorzata Grajewska**Dziady. Przywołania i zaklęcia**

*Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.
Co to będzie, co to będzie?
Co zadziwia i oddala,
Niech ożywia, niech ocala.*

Wskrzeszam was, moi bliscy – dalecy.
Wchodzę w rzekę, jak się wchodzi w słowo.
Światło na wodę, by nie stracić z oczu
nikogo.

Przywołuję cię, Marcjanno.
Drogi ze wschodu są długie.
Welniana chusta kolejną stratą,
pierwszą były dzieci i złote ruble.
Powrót niesie obawę. Dobrze wybrałaś –
miejsce przy wodzie.
Nadaję ci imię Brzeg.

Przywołuję cię, Tomaszu.
Niebieskie oczy, zapadłe policzki,
wągś starego woźnego.
Oni w mieście nad rzeką, ty tam.
Tęsknisz. Tak bardzo. Tak mało
się znamy. Woda wzbiera. Wracaj.
Nadaję ci imię Dorzecze.

Przywołuję cię, Józefie.
A ty umierasz i piszesz: *Moje kochane Bubki,
trzeba być porządnym, słowa dotrzymywać.*
Wojna. Z każdej strony. Nurt żłobi dno.
Nadaję ci imię Starorzecze.

Przywołuję cię, Klaro.
Nasze kobiety są silne, rodzą wiele razy.
Siedem córek przeżyło.
Dla nich nie chcesz rezygnować ze spadku.
Wieczorem czytasz żywoty.
Nadaję ci imię Fala.

Przywołuję cię, Heleno.
Nie ma przypadków. Jest ci pisany asystent pocztowy.
Przepadła pierwsza miłość
i wyprawka do zakonu. Pozostały litanie
spraw do załatwienia przed ucieczką do Kutna.
Wielki strach. Mały Stach.
Nadaję ci imię Głębia.

Przywołuję cię, Józefie.
Skronią dotykasz pnia.
Nad kanałem puszczasz kaczki,
kamienie w dno. Tak znaczysz miejsce dla was i dla nas.
Święty obrazek z portfela gdzieś się zapodział.
Czuwają sowy, rzeźbione w korze.
Nadaję ci imię Nurt.

W powietrzu rzeczna wilgoć i resztki wierszy.
Zanurzam się, by poczuć
jak to jest, tyle tracić, tyle zyskać.

Przywołuję cię, Małgorzato.
Z kropli powstałaś, w wodę się obracasz.
A gdy koryto wyschnie, będzie stał kto inny.
Tobie nada imię.

Dariusz Malach**W szpitalu**

jestem w szpitalu
w te dni przedostatnie
przemierzam stare kąty
bladą korytarze
na zapleczu
ocieram się o śmierć
o tej porze je drugie śniadanie
przy oknie
w pokoju socjalnym
z reguły bułka z dżemem
i kawa anatól

w jej filuterie oczy
wpada promyk słońca
spogląda na zegarek
puszcza do mnie oko
z tobą umówię się później – mówi
będziesz miał jeszcze
ze mną
swoje pięć minut

lubię ją
fajna babka
jest taka bezpośrednia i
przy kości

w pokoju nad pralnią
z obolem Charona
obolały staruszek
biały jak opłatek
przywiązany do ziemi
plastyczną rurką
wspomina pierwszą miłość
o zielonych oczach
więc bez paru drobniaków
całe swoje życie

to mój pacjent – mówi śmierć
czekam już tylko na
pieczętkę z góry
sąd najwyższy odrzucił
jego apelację
żał mi go
dodaje po ludzku

patrzę w gasnący płomyk
z drugiej strony lustra
spoza granicy świata
z kraju gdzie go nie ma
czuję ten słodki zapach
co nigdy nie myli
że kilka metrów dalej
czeka dopust boży

przed szpitalną bramą
jego anioł stróż
chciwie dopala papierosa
skrzydła już spakowane
samochód na chodzie

robi się chłodno
zaraz zacznie padać

Sławomir Krzyska

W Wielkim Tyńowie

Podczas kolacji wśród instrumentów
wiszących bez dźwięku na ścianie,
gdy kot próbował wejść na nasz stół,
powiedziałem:

Zatrzymaj mój uśmiech,
codzienne westchnienie,
mój dotyk i niepokój,
który siada między nami.

Nic nie mówiłaś,
kot podrapał pazurem
twoją dłoń, którą położyłaś
na mojej – niepewnej.

Po ostatnim akcie

Kiedy ciebie i mnie,
zaprosi do tańca
ponura pani, ta, która
jeszcze wczoraj tańczyła
z Hypnosem.

Ubrana w suknię z cieni,
dotknie ramion jak chłodny wiatr.
Nie pytaj, nie dziw się, nie wzbraniaj,
bo każda nuta zna krok
i podłoga drży od wspomnień.

A gdy już zbliżysz się do miejsca,
gdzie cisza tańczy sama,
usłyszysz głosy sprzed lat
jak szelest kurtyny,
co opada po ostatnim akcie.

Potem już tylko bezruch,
brak światła, muzyki, tchu,
i choć w powietrzu
wciąż unosi się rytm,
nikt już nie tańczy.



Marta Krzyska - Tablica nagrobna

Wczoraj, kiedy
spojrzałeś w okno,
którego nie było,
odśloniłeś wzrokiem
widnokrąg splecionych dłoni,
gorycz chwili,
mętne tłumaczenie,
że sen,
że myśl.

Próbowałeś nie patrzeć,
z trudem zacisnąłeś powieki

W świecie zamkniętych oczu
dotyk jest słowem,
jak porywy wiatru
odbija się od powiek.

Pod nimi unosi się szept
rozsypanych drobin światła,
w szczelinach skóry
zatrzymuje się czas.

Co powiesz drzewu,
Które nie sięga snu,
rozpiętemu na ramionach
niczym cień?

Jaką historię
opowiesz dotykiem,
gdy przemknie obok?

Tablica nagrobna nie powie
wszystkiego o człowieku.

Data urodzenia
i śmierci,
jeszcze prosba o modlitwę.

Gdy się pochylił,
przemawia głosem żalu.

Wraca to,
czego nie zapisano –
obecność.

Pamięć
nie mieści się w kamieniu.

Grzegorz Pelczyński

Czwarta władza – szkoła

Początek kolejnego roku szkolnego pobudza do rozmyślań nad istotą oświaty. Niełatwo oprzeć się wrażeniu, że współcześnie jest ona przede wszystkim władzą, której trzeba bezwzględnie się podporządkować.

Według Monteskiusza, władza winna dzielić się na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. I tak właśnie mniej więcej jest obecnie w większości państw świata. Jednakże nie znaczy to, że tylko parlament, król lub prezydent oraz sąd dbają o pomyślność zwykłego człowieka bądź, jak można by też rzec, decydują o tym, co ma robić. Wskazuje się jeszcze na czwartą władzę czyli środki masowego przekazu. Prasa, radio, telewizja, a także internet, mają niewątpliwie niemały wpływ na społeczeństwo, ale z prawnego punktu widzenia władzy nie sprawują, nie trzeba wszak się im bezwzględnie poddawać. Określając je mianem czwartej władzy, wyraża się metaforycznie.

Jest jednak inna władza, której nie można się nie podporządkować – szkoła. We współczesnych państwach wszyscy muszą do niej uczęszczać przez niemalą część swego życia. Zresztą liczba lat spędzonych obowiązkowo w szkole stale się zwiększa. W Polsce w okresie międzywojennym i jeszcze długo po wojnie wynosiła siedem lat, a obecnie dwanaście. Z pewnością nie jest to mało, zwłaszcza dla dziecka.

Zalet szkoły trudno nie zauważyć. Nabywa się w niej wiedzę i umiejętności, które przydają

się w przyszłym, dorosłym życiu. Na dalszych etapach edukacji można zdobyć nawet zawód albo przygotować się do studiów wyższych. Nauczyciele mogą też nauczyć pozytywnych postaw społecznych i patriotycznych. Katecheci zaś kształtować wiarę.

Szkoła jednak nauczyć wszystkiego nie jest w stanie. Uczniowie w domu muszą się uczyć sami, często przy wydatnej pomocy rodziców. W szkole średniej niejedynemu musi mieć korepetytora czyli prywatnego nauczyciela, który uczy tego, czego szkoła nauczyć nie zdołała czy nie mogła z powodu niewydolności systemu oświaty. Nikt jednak jakoś nie czyni jej z tego zarzutu. Szkoła to także urząd, nie podlegający żadnej krytyce, który zaświadcza, że ktoś ma wiedzę, nie wnikając dzięki komu sobie ją przyswoił.

Przypomnieć trzeba nadto, że gdy władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą sprawują ludzie owładnięci jakąś ideologią totalitarną, to szkoła ją propaguje. Już nie raz przecież tak bywało. Wystarczy przypomnieć sobie nie tylko to, co działo się w Związku Sowieckim i Trzeciej Rzeszy, lecz także pomysły współczesnych władców oświaty.

Do zadań współczesnej szkoły, oprócz nauczania, należy również zajmowanie się dziećmi w godzinach, w których ich rodzice pracują. Niekiedy się wydaje, iż to najważniejsze jej zadanie. Dawniej spełniała je ona w znikomym zakresie albo wcale. Dawniej większość matek

nie parała się pracą zawodową, mogły zatem opiekować się swym potomstwem, gdy nie musiało przebywać w szkole. Ale kiedy zmuszono je do podjęcia pracy – obniżając systematycznie pensje mężczyznom – szkoła stała się także przechowalnią dzieci.

W szkole rodzice zrzekają się naturalnej władzy nad swoimi dziećmi i przekazują ją nauczycielom. Ale niekoniecznie całkowicie. Zwykle istnieją jakieś organy kontrolne złożone z przedstawicieli rodziców, które, jeśli okażą zdecydowanie, mogą wyznaczyć granice władania szkoły. Może to też uczynić każdy z rodziców. Często jednak z tego rezygnują, nadmiernie ulegając funkcjonariuszom oświaty jako specjalistom od wychowywania dzieci. I rzeczywiście, niejedynym jest, co nie znaczy, że niekiedy nie popełnia błędów. Są też tacy, którzy popełniają je notorycznie.

Szkołą rządzi zazwyczaj kobiety. Tak się złożyło, że nauczycielstwo tworzą głównie one. Od nich zależy, czy poddane ich władzy dzieci będą szczęśliwe czy nie. Od nich zależą w jakiejś mierze ich dorosłe lata. Feminizacja tego zawodu jest niekorzystna dla uczniów płci męskiej, szczególnie w warunkach powszechnej koedukacji. Chłopcy pod względem intelektualnym i społecznym na ogół rozwijają się wolniej niż dziewczynki, więc gorzej się uczą i są bardziej niegrzeczni w porównaniu z nimi. Nauczycielki stawiają im za przykład koleżanki z klasy, lecz oni nie są w stanie ich naśladować. W rezultacie mężczyźni mają znacznie gorsze wspomnienia ze szkoły aniżeli kobiety.

Gdy dojdzie się wreszcie do wieku, w którym nie podlega się obowiązkowi szkolnemu, tylko na pewien czas traci się kontakt ze szkołą. Spłodziwszy własne dzieci, znów się trzeba jemu podporządkować, choć teraz już w inny sposób. Rodzice muszą mianowicie pomóc swym dzieciom przebrnąć przez lata szkolne z jak najmniejszymi szkodami.

Owych szkód z pewnością byłoby znacznie mniej, gdyby oświata została pozbawiona wyrażonych u niej dziś zakusów totalitarnych. Zależy to jednak od tego, czy będzie je wykazywać władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza. ♦

Stefan Pastuszewski

Ojczyzna Marioli Kowalskiej

Nie można być tylko wspomnieniem
Trzeba brać to co jest
Trzeba pamiętać, ale nie bez końca
cieszymy się, że jeszcze żyjemy
Tak jak Polska
która rozlewa się wokół nas
zielenią i słońcem

Przytułek

Ja nie będę krzychał
głosem ludzi opuszczonych
zza ściany
bo przyszedł do mnie Wojtek
by przekazać mi dobrą energię
a na zakończenie
pocałował mnie w głowę
jak ojciec Syna Marnotrawnego
przytulił mnie na całe życie
które będzie już na pewno



„TĘCZOWY ZAKĄTEK”

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROWA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

IRONIE

Joanna Hetman Krajewska

Panna młoda na kocich łapkach

Kot łapą pobłogosławił nasze dni
Nie chcemy polskiego wesela
Po co strachy zapraszać z sadu
Jeszcze rozgości się Wernyhora
wódki zawoła
co złego zwieszczy
umarlaków wyśpiewa ze ścian
wódki im trzeba będzie polać
a wódka droga
umarłe to a wódkę żłopie jak żywe
na polu z chochołami tańczujta
my tu z kotem w izbie
na kocich łapkach

Z Polski my

Naród ziemniaczano-wieprzowy
Z domieszką pszenżyta
Z Polski my rodem
Doświadczony w powstańczych bojach
I piciu wódki
A od wódki rozum krótki
I tylko sznur zostaje w dłoniach
Trudno zgadnąć co skrywa chochoł
Raz odda głowę dziecka
Za życie żydowskiego sąsiada
Innym razem wyda go na spalenie
Naród rycerzy i moczymordów
Bohaterów i szmalcowników
Kłękających przed figurą Maryjki
I plujących na przydrożną kapliczkę
Strajkowiczów i łamistrajków
Realizujących talony w milicyjnym kasynie
Członków kółek różańcowych
i stwardniałych z braku wiary i nadziei
ateistów
Gdy przychodzi historyczna zamieć
wsiadają na transatlantyk
by o spalonych stodołach pełnych ludzi
czytać na drugorzędnych stronach gazet
w kolejce po lody na piątej alei

Angelika Szelałowska-Mironiuk

O tu lina

Nie musisz brać noża,
Rozpuszczać trucizny.
Nie kłopotz się też machaniem toporem.
Wystarczy się tylko trochę postarać
I wtedy uda ci się nie widzieć.
Przy odrobinie wysiłku
Nie usłyszysz,
Nie skojarzysz,
Miętko i spokojnie zbudujesz zaprzeczenie.
Rozsiądziesz się w niedostrzeganiu
I nikt zza ściany nie zakłóci ci spokoju.
W razie potrzeby
Schronisz się szybko pod otuliną szoku.
Choć z pewnością będzie tam ciasno.

Marek S.Podborski

Bór to jest nasz ostatni

Bóbr, co w małym stawie
uwięziony
ze słabym przepływem
i staw stromo zakończony, a potem
zaraz bór i tylko tu
na pasie lżejszej ziemi, pod borem,
małe pole z małym słonecznikiem
jak chęchów las, wgrzyza się
w ziemię bulwami

A bóbr ciągle łyka łyka
i łypie na dziki zagon
badylami
podwyższając tamę

I na wzór
topi nam bór

Michał Piechutowski

Walka z lękami

Mierzyłem się z tym wszystkim
Czego się obawiałem
Czytałem że uciekanie
Nie rozwiązuje problemów

Dlatego skakałem na przetartym
bungee
Sikałem na instalację elektryczną
Połykałem trujące grzyby
Rzucałem w ramiona obcym
Śpię w zamkniętej beczce
Przeszło

I tylko nie wiem czemu
Zacząłem się bać pajaków

Iwona Orzechowska-Wiater

Mina to mina.

Inaczej sobie siebie widziałeś.
Poszło. Świat wybucha
śmiechem a ty umierasz.

Ale to minie. Tutaj umieranie jest odwoławalne.
A teren tak gęsto zaminowany
że o chwilowych ofiarach nikt nie pamięta.

Wnuk nie pochylił się nad nią ostrożnie.
Kurz jej nie pokryje. Szafa nie zakopie.

Głupia mina do kiepskiej gry.

Barbara Kwiatanowska

Sztuka odchodzenia

Pokornym wędrowcem
Roztropnym włóczęgą
Rozczochranym Aniołem

Byłem...
Bytem
Na zbyt

Otoczony piskletami – niezniszczalny, jak hydra
Wśród farbowanej filotaksji
– poszukujący wsparcia u hydraulika konania

Mknąc w górskich butach wypatrywałem hydrantu istnienia
Wyczekiwałem dramatycznego finału

Nastąpił

Akt strzelisty
Hydrangea paniculata na marmurowej powierzchni

Jacek Jaszczyk

List z emigracji LXXXII

1.
Liście w odcieniach ochry rozpływają się wśród chodników.
Spiczaste żagle łodyg, jak kikuty, wystając z dzikiej szarości
proszą o uwagę tych, którzy idąc, mimochodem rozdeptują
łupiny ziemistej skorupy, nad nią wściekle dwukołowce
rozwożąc iluzję otumanionych marihuanowym dymem osiedli,
przenoszą się w miejsca, gdzie od gasnących świateł latarni
świat wygląda, jakby przysiadł na głowie psa rasy Irish Wolfhound.
Tego samego, przy którym przychodząc korytarzami ulic,
jesień przypomina miasto wychodzące z opuszczonych jaskiń.
2.
Gdy próbuję nakarmić je słowami celtyckich wojowników,
ujadanie staje się coraz głośniejsze, jakby odgłosy dzwonu,
przez masywy hałd zagarnianych rękoma gospodarza,
karmiły kamienne rzeźby przyklejonych do siebie budynków.
Ich smętne okna, jak przygaszone spojrzenia, zaglądają
kałużom osadzonym w misach w halloweenowe wróżby.
A rano, ponownie, jak odklejona od światła noc, wróci tutaj mgła,
ciężka jak sen mleczarza niosącego rozbite butelki ciszy,
jeszcze bardziej realne niż kroki udające prawdę ulicy,
przez którą spróbuję raz jeszcze przejść, nie otwierając oczu.

Bernard Łach

Cmentarze na Malediwach

Piotr Szczepański

kredka

skorupka do skorupki
ktoś zarzuci całości
tyle krzywizn

brak mierzalności
żeglujesz
do z góry określonego
kopca ładu

zapchane depozytami
z małżowin
kanały odpływowe
pachną Atlantykiem

nie ma odwrotu od
jej linii młodzieńczej
nad wodą
ciemności bawią
się w ciuciubabkę

światła puszek
na różowej brzoskwini
opadł
przed skórka
jakby z gumoleum
mangi

zaczzerwienionej
na brzegach
możesz już ze mną
wejść
zamieszkać choć
na dłużej

Na wyspach rozsypanych po oceanie
życie i śmierć chodzą boso po białym piasku,
spotykają się cicho
i bez wielkich słów.

Cmentarze są tu małe jak ogrody ciszy,
schowane między domami
i cieniem meczetu,
jakby chciano, by pamięć
była zawsze pod ręką.

Kamienie mówią półszepem kształtów.
Jedne mają ostre grotty jak włócznie światła –
to ślady po mężczyznach,
którzy kiedyś chodzili po tych ścieżkach.

Inne są zaokrąglone,
jak księżycy zanurzone w wodzie –
łagodne łuki kobiet
niczym fale wracające do brzegu.

Tu nie ma ciężaru marmuru
ani wazonów z kwiatami.
Tylko otchłań,
która zna sekret powrotu
jak wyspy które wyszły spod wody.

Kamil K. Pilichiewicz

o tamtym drzewie

pana drzewo panie Alberto Caeiro
to drzewo oliwne w Ribatejo

moje drzewo to brzoza
która jesienią zrzuca liście

pan kocha drzewo
dla samej jego drzewności

widzę jak liście opadają
zakwita nowe

Dariusz Lebioda

Świątynia

W mroku tamilskiej świątyni
na wyspie Reunion sący się
cicho krwawa skarga dawno
umarłych ludzi

ich czarne włosy i oczy utonęły
w oceanie czasu i nigdy już się
nie powtórzą

ich brązowe dłonie i plecy
zapadły się w głębinę
niebytu i nikt nie wydostanie
ich stamtąd

ich myśli i sny pochłonięły
zimne monsuny i żar
królującego nad tonią
słońca

w mroku świątyni milczenie
bóstw i złotych figur
czarny żal czerwonych
i żółtych materii

Reunion 2025

Adam Michalak

Chwila w Pafos

W Pafos odwiedzam nekropole
starożytne krypty
w litej skale wykute
kolumny podtrzymują
konwersację z pielgrzymami

cyprysy i sosny zaglądają
do pustych grobowców
w których rozsiadła się
wygodnie obojętna
dla zwiedzających cisza

słyszę za zmarłymi
wciąż tęsknią w splendorze
słomkowych kapeluszy
archeologiczne odkrycia

morze niezmiennie
od III wieku przed naszą erą
przywołuje twarze
tych którzy odeszli

obok ruin wypalonych czasem
i słońcem stożki z kamieni
dokładam budulec pod kolejne
odwiedziny w zaświaty

jaszczurka cypryjska
przebiegła mi drogę
nieuchwytna jak fala
pod ciężarem niepojętej głębi

Zagubione świadectwo prefekta Judei

Śledztwo w sprawie antycznego raportu lub listu Piłata

Czy w dzisiejszych czasach zagubiona ludzkość dla pogłębienia wiary i wyjścia z kryzysu niewiary potrzebuje oryginalnego papirusu, dotyczącego działalności Jezusa Chrystusa? Oddani wierze twierdzą, że taki kolejny niemy świadek wiary nie trafi do serca każdego niewiernego, ale jedynie do tego poszukującego sfery duchowej i fascynującej historii wczesnego chrześcijaństwa

Na łamach miesięcznika *Akant*, zajmę się poszukiwaniem autentycznego raportu albo listu (o ile taki rzeczywiście istniał zamiast raportu) Poncjusza Piłata do cesarza Tyberiusza w sprawie prawdopodobnie tylko ostatniego dnia życia Jezusa z Nazaretu (a może uda się ustalić coś znacznie więcej w kwestii ostatnich godzin namaszczonego przez JHWH wysłannika do narodu wybranego niż próbować za wszelką cenę poszukiwać zupełnie nie znanych dotąd śladów trzyletniej działalności tego Mesjasza, opisanej dzień po dniu, co, według mnie, zapewne skazuje drążącego na porażkę).

Na pierwszą poszlakę zbrodni, w pierwszym wieku naszej ery, dokonanej przez namiestnika Judei, Poncjusza Piłata, natrafiłem przeglądając obszerne, bo połączone w jeden tom, dwa dzieła: *Historia kościelna, O męczennikach palestyńskich* (Poznań 1924, Fiszer i Majewski, Księgarnia uniwersytecka), skreślona przez Euzebiusza z Cezarei, biskupa, ucznia Pamfila, urodzonego około 263 roku w Cezarei Palestyńskiej. Na stronie 54 i 55 owego opasłego starodruku, wspomniany wyżej wybitny pasterz Kościoła, pisze o przesłanym raporcie do ówczesnego władcy Rzymu, Tyberiusza: *Był zaś stary zwyczaj, który rządcom prowincji nakładał obowiązek zadawania cesarzowi sprawy ze wszystkich zdarzeń nowych a ważnych, by nie nie uszło uwagi zwierzchnika. Piłat więc doniósł cesarzowi Tyberjuszowi o tem, co w Palestynie wszyscy już głośno opowiadali o zmartwychwstaniu Zbawiciela naszego Jezusa, a równocześnie powiadomił go, że z ust do ust idą jeszcze inne wieści o cudach Jego, że wielu jest takich, którzy już wierzą w Jego bóstwo, jako że po śmierci zmartwychwstał. Tyberjusz miał się podobno odwołać do senatu, który przecie przedłożenie jego odrzucił, na pozór dlatego, ponieważ rzecz cała nie była mu poprzednio oddana do zbadania, a stare prawo powiadało, że nikt nie było wolno zaliczyć w poczt bogów rzymskich bez uchwały i bez wyroku senatu. W rzeczywistości stało się tak, ponieważ Zbawicielowi nauce ewangelii bożej nie były potrzebne ludzkie oceny ani ludzkie ustawy. Tak tedy senat rzymski odrzucił wniosek w sprawie Zbawiciela naszego. Tyberjusz jednak trzymał się swego zdania i nigdy przeciwko nauce*

Chrystusowej z wrogiem nie wystąpił zamysłem.

Mówi o tem Tertuljan, znawca prawa rzymskiego, mąż i skądinąd sławny, jeden z najznakomitszych Rzymian, w swej „Apologii” chrześcijan, napisanej po łacinie, a przetłumaczonej na język grecki. Oto jego słowa: „Należałoby więc omówić powstanie praw tego rodzaju. Otóż istniała stara zasada, by cesarz nikogo do rzędu bóstw nie wynosił, zanimby go przedtem senat nie uznał”.



Ebhard Fugel. Piłat umywa ręce

Dodam, że Tertulian przyszedł na świat około 155 r. w Kartaginie jako syn setnika, a w 193 roku uznał wyznanie chrześcijańskie za jedyne i prawdziwe, godne przyjęcia, co i według niego uczynił – w swoim sumieniu – namiestnik Piłat. Teraz wróć do tekstu Euzebiusza z Cezarei. Dzięki temu przekładowi z greki (tłumaczył ksiądz Arkadiusz Lisiecki), ci świadkowie wiary przekazali istotną informację dla moich poszukiwań. Mianowicie raport, a może list (przypominam to był już IV wiek naszej ery, a ten starożytny pisarz nie widział na własne oczy opisywanego przez siebie raportu, chociaż doszukuje się zbieżności z innym pisarzem



List Tyberiusza do Piłata manuskrypt grecki 1771

antyku) znano już w I, II i III wieku naszej ery, a ten znamieny fakt pokrywa się z afirmacją Justyna Męczennika, urodzonego ok. 100 roku w Sychem, ściętego w 165 r. razem z sześcioma chrześcijanami w murach Wiecznego Miasta. Ponadto budzi we mnie

niepokój nota z życia intymnego usynowionego następcy Oktawiana Augusta, co do przestrzegania nauki Bożego Pomazańca z Palestyny (miał nie występować przeciw nauczaniu Jezusa). Jednak z biogramu Tyberiusza jasno wynika, że interesowały go dzieła sztuki o tematyce erotycznej i wymyślne orgie, ale do końca nikt nie wie, czy ta rozpusta miała miejsce. Toteż ostrożnie odkładałem ten ustęp z życiorysu na bok, bo przecież następca pierwszego cezara był świadomy, iż otaczają go ludzie nieprzychylni jego rządowi. Jedno zatem jest pewne: nie został zaliczony w poczet bogów.

Za moment zapoznam się z raportami i listami, pisanymi do tego wymienionego wyżej władcy Imperium Romanum. Jestem ciekawy, czy te pisma są odpisami, o których istnieniu pisał dla potomnych biskup z Cezarei? W jakim języku przetrwały do naszych czasów? Czy na podstawie stawianych liter w rękopisach paleografowie ustalili wiek niezbyt odległy od I stulecia?

Brak zbieżności z autentycznym tekstem?

Nieoceniony dla nauki patrolog ksiądz profesor Marek Starowieyski, urodzony w 1937 r. w Krakowie, zgłębił wiele apokryfów (gr. *ἀπόκρυφος* – ukryty) Starego i Nowego Przymierza. Ten uczony zajął się na początku XXI wieku *Raportem Piłata*, namiestnika, o Panu naszym Jezusie Chrystusie, wysłany do Augusta cesarza, który mieszka w Rzymie (*Anaphora Pilati*) i *Wydaniem Piłata* (*Paradosis Pilati*). Oba te teksty w manuskrypcie występują jeden po drugim bez podania tytułu tego drugiego. W wymienionym wyżej *Raporcie* autor zbrodniczej decyzji zgładzenia Syna Bożego uchodził w V stuleciu – wśród czytelników – za niewinnego sędziego (ewidentna wina Żydów), podobnie do *Ewangelii według św. Jana*, w przeciwieństwie do ewangelii synoptycznych, gdzie obraz wydania wyroku przez tego wysłannika Rzymu, diametralnie różni się od syna Zebedeusza. *Wydanie Piłata* to dalej ciągnąca się historia skazania Zbawiciela, z której dowiadujemy się, że poplecznik cesarstwa z Miasta Dawida już dostarczył raport synowi Liwii Druzylli. Obrażony cesarz na zarządcę wschodniej prowincji, natychmiast wezwał go do stolicy Imperium w celu przesłuchania Bogobójcy. Aby ten bezbożnik dotarł na pewno przed oblicze cesarza, Tyberiusz wysłał po niego pretorian. Na miejscu, przed majestatem najjaśniejszego i senatu w Kapitolu, oskarżony zdał relację z przebiegu wydarzeń przedpaschalnych w Jero-

limie. Przepełniony gniewem na jego uległą postawę wszechwładca światowego mocarstwa, wydał jednoznaczny wyrok skazujący na śmierć okrutnika za to, że nie chronił Cudotwórcy z Nazaretu przed złowrogą reakcją narodu żydowskiego, stąd imperator

rozkazał dworzaninowi Albinowi ściąć jemu głowę. Przed zgonem skruszony Piłat, skierował do Chrystusa modlitwę, którą przyjął Stwórca w słowach: *Będą cię błogosławiły wszystkie pokolenia i narody pogan, ponieważ za twoich czasów zostało spełnione to wszystko, co było przepowiedziane przez proroków o Mnie...*

Ten sam, powyżej wymieniony, ksiądz profesor Starowiejski, opracował i przetłumaczył *List Piłata do Tyberiusza*, spisany szesnastowieczną łaciną. Ta korespondencja judzkiego namiestnika nic nowego nie wnosi do moich poszukiwań. Mianowicie ten poplecznik rzymskiego cesarstwa powołał się na starotestamentową tradycję prorocką, dodając jedynie od siebie pogańskie zwroty, dotyczące antycznych filozofów i Sybilli. A więc to niemożliwe, aby ten arystokrata głęboko wniknął w naukę swoich czasów, bo przecież władca największego Imperium potrzebował faktów, dotyczących tego co się dzieje w oddalonych od stolicy krainach (ważne są posunięcia polityczne, pokój, utrzymanie w ryzach miejscowych tubylców i przyjezdnych w czasie najważniejszych świąt mozaizmu).

Natomiast Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, oddało do rąk miłośników języka staropolskiego starodruk z 1522 roku, zatytułowany: *Żywot Pana Jezu Krysta, Stworzyciela i Zbawiciela rodzaju ludzkiego wedle ewangelistów świętych z rozmyślaniami nabożnym doktorów Pisma Świętego krótko zebrany*. Autorem i tłumaczem tego foliału był Baltazar Opec, urodzony w latach 80. XV wieku w Krakowie, syn mieszczanina Wacława. Ten doktor teologii w swojej księdze zamieścił transkrypcję apokryfu z czternastowiecznej łaciny, zatytułowanego *List Lentulusa*. Fikcyjny urzędnik, będący wówczas w Judei, opisał wygląd Jezusa, ale to niewiele zmienia w moim śledztwie. Dlatego skierowałem wzrok poniżej *Listu Lentulusa* i zobaczyłem *List Piłata, starosty Jerozolimskiego, o dziewięciu i o śmierci, i o zmartwychwstaniu Pana Jezusowym, ku Klaudyjuszowi Tyberyjuszowi posłany*.

W tej epistole Poncjusz Piłat doniósł władcy mocarstwa o narodzeniu z panny proroka, o wystąpieniu Żydów przeciw temu głosicielowi prawdy, o cudach, które On czynił. A więc w dalszym ciągu nie odkryłem nic, co mogłoby mnie doprowadzić na ślad oryginału (takie informacje – w poszukiwanym dokumencie – ogólnie mogły być ujęte w dużym skrócie, ale nie ma nic istotnego dla cesarza).

Ponad dziesięć lat temu zakupiłem na stronie internetowej *Allegro*, *Raport Piłata do Tyberiusza cesarza o Jezusie Chrystusie*, wydany w języku polskim przez Zrzeszenie Wolnych Badaczy Pisma Świętego w 1946 roku. Idąc tropem tej publikacji, dowiedziałem się, że amerykański pastor prezbiteriański z Cumberland, William Dennes Mahan, urodzony 27 lipca 1824 roku w hrabstwie Pittsylvania w stanie Wirginia, sam siebie okrzyknął odkrywcą łacińskiego antycznego autografu, pisanego ręką zarządcy Judei, Piłata. Zainteresowanych tym „autentycznym” doniesieniem do cesarza Tyberiusza, zapewniał, że aby osiągnąć cel musiał podjąć rozmowy z ważnymi naukowcami i pracownikami Biblioteki Watykańskiej. Pewny siebie podał nazwiska tych osób, wymieniając kolejno:

Henry'go Whydamana – niemieckiego uczonego, Petera Freelinhusena – ojca duchownego i głównego opiekuna zbiorów biblioteki, C. Vantbergera – tłumacza starożytnej łaciny na język angielski. Dopiero po wydaniu wielu wolumenów zdemaskowano jego oszustwa, na które złożyły się plagiaty, kłamstwa co do istnienia osób przedstawionych powyżej. Proces kościelny przed trybunałem Prezbiterium New Lebanon, ujawnił mnóstwo nieścisłości historycznych w opisanym tekście i zbieżności z książkami innych autorów oraz to, iż Mahan nigdy nie był w Stolicy Apostolskiej, ale, że czas na rzekome poszukiwania starożytnego dokumentu



William Mahan, strona tytułowa

naonczas informującego o sensacyjnych doniesieniach z Syjonu przez wysłannika rzymskiego, stanu ekwickiego, rodem z Pontu, spędził w zaciszu domowym na farmie w Illinois, toteż werdyktem sądu duchownego odsunięto go od posługi duszpasterskiej.

Mahan w swoim *Raporcie* wykorzystał *List Lentulusa* i pisarzy jemu współczesnych. Cesarski urzędnik Rzymu w Judei na kartach tej broszury opiekował się Jezusem od początku Jego działalności misyjnej, ale głosiciel Dobrej Nowiny o tej ochronie nic nie wiedział. Co więcej o wszystkich ruchach Nauczyciela z Naza-

retu informował prefekta jego sekretarz Mauliusz, zaś proces Pomazańca Bożego w mahanowej wersji jest tożsamy z wcześniej omawianymi apokryfami, oczywiście pod względem braku winnego mordu..

Na podstawie zebranych opracowań nie mogę ustalić zbieżności z oryginałem, którego nie ma do wglądu. Dlaczego?

Konkluzja

Wiem o tym, że w IV stuleciu Epifaniusz z Salaminy, urodzony około 315 roku w Judei, czytał *Raport Piłata*, a VI wieku Grzegorz z Tours, urodzony w 538 roku w Averno, również miał w rękach ten papirus. Te suche fakty nie doprowadziły mnie do wglądu w autentyczną treść pisma Piłata z I wieku, ponieważ brakuje - wspólnych dla wszystkich przedśledzonych przeze mnie pism - zbieżnych z sobą imion posłańców, tych samych ściśle powiązanych z sobą faktów, jedynie winni są potomkowie Abrahama, Izaaka i Jakuba.

Zresztą jak oryginalny raport lub list napisany przez prefekta Judei trafił do wspólnoty chrześcijańskiej (w języku greckim lub łacińskim)? Czyżby Piłat oddał do dyspozycji gminy chrześcijańskiej kopię raportu lub listu, a może kanclerze następcy Oktawiana Augusta przekazał z archiwum ów raport albo list arystokraty zainteresowanemu nauką Jezusa w Rzymie? Od VII wieku brak wszelkich danych o prawdziwym odpisie interesujących mnie dokumentów starożytnej epoki literackiej. Do tej pory nikt z badaczy nie znalazł pożądaną dla nauki i wiary korespondencji.

Pomimo podjętego przeze mnie wysiłku, nie udało się odtworzyć treści autentycznego Raportu bądź Listu, którym posługiwali się pierwsi chrześcijanie. Pomimo to mogę z całą pewnością zaświadczyć – na podstawie *Dziejów Apostolskich* i pism Ojców Kościoła powszechnego o tym, iż pierwsze gminy judeochrześcijańskie oraz nawróceni z pogaństwa wyznawcy nauki Chrystusa nie ustępowali w głoszeniu słowa Bożego pod żadnym pozorem, nawet gdy groziła im śmierć, a to też m. in. dlatego, iż mieli do dyspozycji rozpowszechniony w wielu odpisach zagubiony dziś rękopis raportu ewentualnie listu, który „wyszedł” spod ręki podwładnego cesarza Tyberiusza. Niestety w tym samym czasie istniały również już rozpowszechnione fałszywe pisma anonimowych autorów podszywających się pod prefekta Judei, które wtenczas zacierały prawdziwy obraz życia i śmierci Sługi Jahwe. ❖

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

* * *

Małgorzata Kotłowska

Ordery

Kiedy odchodził do swojej nowej baby,
nie udawał nawet, że idzie po zapalki;
w pośpiechu, by ukrócić niechciany akompaniament,
wcisnął fajkę między wąsy, na grzbiet zarzucił
harmonię;

żonie, prócz trzech córek, pola i rogacizny,
zostawił wszystkie ordery
za bicie wroga i ratowanie swoich,
stłoczone w szufladzie wraz z listami krewnych
z Ameryki, pełnymi słów miłości i uznania.

Po ostatniej śmierci w opustoszałym domu
prawnuk przegląda szufladę,
ściera śniedź, ociera łzę dumy.

Cholera

Ty cholero! – wrzeszczała mamusia, jak to kiedyś bywało –
żebyś ty w kalendarz kopnął, zanim ja umrę,
mnie pożycić dał.

Chichotaliśmy nieraz spod stołu pod ten niedzielny refren,
zmiksowany z oparami przetrawionej żytniej
i bulionu na głowach dorszy.

A potem, w dzień powszechni, krzyż mu na drogę
na chlebie, kawał sera, pęto śląskiej i ciche życzenie
powrotu, ze spuszczoną głową.

Wsiadał wtedy do kutra i kolebał się z nim na falach
jak Mojżesz w koszyczku. A że nie bałam się morza,
brał i mnie czasem.

Uczył, jak sieci rozplątywać, jak zarzucać, odrzucać
to, co zbędne; jak patroszyć ostrym nożem i na powrót
wkładać serce do piersi,

jak zachodzić za horyzont Bałtyku - bez końca i ostatni raz.
I umarł pierwszy, cholera.

Słowo

Jej słowo było święte, a strój odprasowany
w gościach stąpaliśmy ostrożnie, by nie prowokować
do ścierania naszych kroków z błyszczącej posadzki
słuchaliśmy jej Radia z udawaną pokorą

Jej słowo było jasne i – jak trzeba – donośne
nie należała do tych, co mówią dwa razy
miskę zupy zawsze opróżnić i do końca
dojeść schabowego wielkiego jak talerz

W dni bez słów jej milczenie ciążyło brzemieniem
żołądek był piastką dziecka, w piersi serce wołu
i czekałem - choćby na zawołanie o b i a d
na żołądek znów bardziej pojemny od serca

Jej zwłoki znaleziono w stanie nieznacznego
rozkładu, przy telefonie głuchym jak pień;
być może chciała krzyknąć w słuchawkę p o m o c y
z głębi piwnicy, w której zawsze więziła t o słowo

Nikt nie przystawia noża pod gardło
nie strzela za oknem nie wybija szyb
w samochodzie ból pleców nie morduje
banknotów jest dość wody jest dość
dom się nie rozpada

ja się tylko rozpadam

* * *

Nie pal przy mnie papierosów
jestem dzisiaj zbyt napięty
jedna iskra i na przykład
połamię krzesło drzwi wyrwę
z zawiasów lub kości potrzaskam
razem z oknem
dużo
dużo głupich rzeczy może się zrobić
dlatego nie pal przy mnie papierosów
przeszkadzają mi w oddychaniu
w łapaniu rozumu spokoju

Nie chcę drzwi wyrwać
wyrzucać krzesła wywoływać krwi
proszę proszę proszę
nie pal przy mnie papierosów
w ten sposób

* * *

Budzi w ciemności sztuczne światło
letni prysznic i papieros
sypiący się przy ustach
w sercu stuk odhacza
następny tydzień porannych zmian

Trzydzieści parę lat biegania
za wypłatą za tramwajem
liczenie piątków świąt
odkładanie bólu na przyszłość

To wszystko przede mną
w głowie stuk
nowy rozkład jazdy
nowe zimno w dłoniach
próbuję jeszcze raz wstać

Żywcem nie

Telefon daje o sobie znać
wiesz co to za rozmowa
odrzucaś wiesz co dalej
odrzucaś na jeszcze i jeszcze

Głosy za drzwiami ciężkie pięści
dają o sobie znać
zatykasz uszy oczy słowa
chowasz się mówisz ostatni raz

Przeciskasz ciało przez ciemność
nikt nie ściga nikt nie karze
podpisywać się krwią
ale jesteś w gotowości
naprężony już na stałe

Będzie trzeba to będziesz biegł
będzie trzeba to będziesz gryzł

City break

Wyszliśmy z hotelu dwie godziny po śniadaniu, co już na wstępie wyprowadziło mnie z równowagi. Chłopiec nie miał najmniejszej ochoty na spacer promenadą, ale w końcu go przekonałem obiecując frytki, które uwielbiał. Oczywiście wołałby zostać w pokoju hotelowym i eksplorować bez porównania atrakcyjniejsze światy gier komputerowych, ale na myśl o tak rażącym marnowaniu naszego dwudniowego wypadu do Gdyni po prostu dostałem gesiej skórki. Poza tym, przed wyjściem na warsztaty szydełkowania Ula wyraźnie powiedziała, że mam go wziąć ze sobą, niezależnie od protestów. Nasz piesek też potrzebował spaceru.

– Gdzie idziemy? – zapytał Piotrek, kiedy już niespiesznie wędrowaliśmy wzduż betonowego murku oddzielającego chodnik od nabrzeża. Pachniało morzem.

Spojrzałem przed siebie. W oddali majaczył słynny żelazny pomnik z trzema ożaglowanymi masztami. Daleko. Kawał drogi. Piotrek nie znośił długich spacerów. Uśmiechnąłem się sam do siebie. Zdecydowałem, że właśnie tam pójdziemy. Czasem lubiłem mu dopiec, zresztą tak jak i on mi, bo przecież ludzie to potwory. Każdy, bez wyjątku, jeśli tylko zaistnieją sprzyjające okoliczności. Te wzajemne docinki to była taka nasza mała stabilizacja, w miarę bezpieczny sposób na niwelowanie napięć między nami. Dużych napięć. Bo trzeba wiedzieć, że Piotrek nie był moim dzieckiem. Trzydzieści lat temu kochałem się w jego matce, ale nic z tego nie wyszło. Rozstałem się z Ulą i każde z nas poszło w swoją stronę. Ona założyła rodzinę, ja nie. Na trzy dekady zamknąłem się w pokoiku po suficie wypełnionym książkami. Ale niedawno zdarzył się cud i teraz znowu byliśmy razem. Meandry losu...

– Tam! – powiedziałem niemal z entuzjazmem, wskazując niknące we mgle Molo Południowe.

– No nie! – jęknął i poczłapał ze zwieszoną głową.

Popatrzyłem na niego. Gdyby wszystko ułożyło się inaczej, mógłby być moim dzieckiem. Ta świadomość zawsze miała gorzki smak i dlatego unikałem grzebania w przeszłości. Zwykle nic dobrego z tego nie wynika. Teraz było już za późno na dzieci. To akurat straciliśmy bezpowrotnie. „Dlaczego nie zadzwoniłeś pięć lat temu”, zapytała mnie niedawno Urszula. „Albo i dziesięć. Już wtedy byłam niezszcześliwa.”

Ciągle włókł się ten sobotni poranek jakby miał się nigdy nie skończyć. Nabrzeże szybko wypełniało się kolorowym, gwarowym tłumem. Rozkrzyczane dzieci ciągnęły rodziców w kierunku pobliskich kramów, młodzież śmigała na elektrycznych hulajnogach, zmuszając spacerowiczów do nagłych uników. Teodor co chwilę dostawał szału na widok innych psów i ciągnął mnie niemiłosiernie we wszystkie strony.

– Wezmiesz go na moment? – zapytałem z nadzieją w głosie.

– Nie! – odpowiedział Piotrek i odwrócił głowę w stronę migoczącego w słońcu morza. Typowe. Właściwie inna reakcja byłaby miłym zaskoczeniem.

– Nie to nie. – wzruszyłem ramionami. – Ale zaraz pewnie będzie buda z frytkami.

– Daj! – chłopiec wyciągnął rękę po smycz.

Tylko w taki sposób mogłem cokolwiek od niego wygzekkować. Drobnym szantażem, czasem groźbą. Nie przepadał za mną, bo lubiłem zasady i porządek, czyli coś, od czego on stronił. Po zastanowieniu wprowadzam korektę: nienawidził mnie. Byłem ciałem obcym w ich tkance rodzinnej, czymś, czego należałoby się pozbyć. Nasze życie zdawało się rozpięte między mniejszymi i większymi awanturami. Po okresach pozornego rozejmu zawsze następował potężny kryzys, który wytrącał jego matkę z równowagi. To było coś, co spędzało jej sen z powiek. Po każdej kłótni łączące nas więzy zdawały się rozluźniać.

Zapachniało gorącym tłuszczem. Poczulem lekkie mdłości.

– Frytki! – wykrzyknął Piotrek i oddał mi pieska. Potem pobiegł w kierunku budy. Chwilę później wrócił ze spuszczoną głową. Od razu wiedziałem, o co chodzi.

– Skończyły się? – zapytałem niewinnie.

Nie był głupi.

– B a r d z o ś m i e s z n e! – wycodził burmuszony. – Nie mam pieniędzy.

Uśmiechnąłem się szeroko. To było perfidne, bo sam mu te frytki obiecałem.

– Chwila... – poszperałem w woreczku z drobnymi i wyciągnąłem piąta. Zdumiony popatrzył na monetę, jakby to był guzik, a nie pieniądze.

– Kosztują piętnaście złotych. – powiedział nieśmiało, ciągle wpatrując się w mój hojny dar.

Nie dałem po sobie poznać, że zaskoczyła mnie ta informacja. Jednak szybko się zreflektowałem. Przecież byliśmy w nadmorskim kurorcie! Wydobyłem z torby portfel i odnalazłem banknot dziesięciozłotowy.

– Proszę! – powiedziałem, a chłopiec w mgnieniu oka chwycił banknot i pognął w kierunku budy. Oczywiście żadnego „dziękuję”. O to też toczyliśmy boje. O „proszę”, „dziękuję” i inne tego typu magiczne słowa.

Śledziłem go wzrokiem. Tak bardzo chciałem nawiązać z nim jakąś, choćby najwątliszą, nić porozumienia, ale nic z tego nie wychodziło. Byłem pełen dobrych chęci, ale najwyraźniej to nie wystarczało. Po chwili zdałem sobie sprawę, że patrzę na niego jak na całkiem obce dziecko. Był jedynie elementem puzzli mojej egzystencji. Musiałem brać ten element pod uwagę, dopasowywać go, choć nieźle się głowiłem, jak to zrobić.

Piotrek wrócił z papierową torebką smakowicie wyglądających frytek.

– Dasz mi jedną? – zapytałem.

Odwrócił się ode mnie ostentacyjnie.

– Dzięki... – powiedziałem ciszej. Przez chwilę zastanawiałem się, czy powiedzieć Uli o jego zachowaniu, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Była wpatrzona w syna jak w obrazek i niemal całkowicie bezkrytyczna, więc wszelkie negatywne uwagi na jego temat obracały się przeciwko mnie. Według niej to ja byłem odpowiedzialny za napięcia między nami, bo nie miałem do niego cierpliwości i ponoć brakowało mi dobrej woli. Może rzeczywiście za bardzo go strofowałem, ale czy ona nie widziała tych wszystkich złośliwości, którymi mnie bezinteresownie raczył? Często zaczynał robić coś, co zawsze wyprowadzało mnie z równowagi i czekał na moją reakcję. Był bystry, bacznie obserwował każdy mój ruch i doskonale wiedział, jakie są moje słabe punkty. Na przykład po skończonym posiłku coraz głośniejsze stukotały łyżką o pusty talerz, patrząc na mnie błyszczącymi złośliwą radością oczami. Kiedy prosiłem go, żeby przestał, on dalej to robił, ale ze zdwojoną siłą. W końcu nie wytrzymałem i rzucałem jakimś twardszym słowem, a wtedy Piotrek natychmiast leciał do matki i konfabulował, przeinaczając całą sytuację. Matka gładziła go po głowie, posyłając mi spojrzenia pełne niemego wyrzutu...

Wolnym krokiem poszliśmy w kierunku pomnika. Teodor nieco się uspokoił i już tak nie ciągnął. Piotr pałaszował frytki, a ja czułem coraz większy głód. Pomyślałem, że zaraz zamówię s o b i e jakieś jedzenie, a on niech patrzy. Niech ma nauczkę. Po chwili smutno pokiwałem głową. Co ja wymyślam! Przecież to dziecko. Poczulem bezbrzeżne zmęczenie i głęboką niechęć. Miałem dosyć. Przełaziło się.

– Usiądźmy tu na moment. – powiedziałem nagle, kiedy mijaliśmy kolejną knajpkę z zadaszoną werandą, na której ustawiono stoliki. Czulem, że muszę z nim poważnie porozmawiać.

Usiedliśmy. Przywiązałem smycz do krzesła i w tym samym momencie kelnerka przyniosła nam karty dań. Straciłem ochotę na jedzenie, więc zamówiłem tylko kawę dla siebie i sok jabłkowy dla Piotra. Kiedy przyniesiono napoje, popatrzyłem na niego smutnym wzrokiem. Chłopiec podniósł szklankę do ust i jednym haustem opróżnił szklankę.

– Piotr... – zacząłem i nagle poczułem, że już nie chce mi się gadać. Czasem zdaje nam się, że tak dużo będzie powiedziane, ale koniec końców odkrywamy, że już wcześniej zużyliśmy wszystkie słowa i zostaje tylko krępująca cisza jak puste opakowanie po nich.

Popatrzył na mnie badawczym wzrokiem.

– Już nic. – powiedziałem ledwie słyszalnym głosem. Nagle zobaczyłem przyszłość w jakości HD. Kolejne, eskalujące awantury, coraz bardziej brutalne przeciąganie liny, przepłakane noce Uli... Ja zepchnięty do narożnika, stłamszony i pozbawiony prawa głosu. Zalała mnie fala przynębnienia. Nie tak miało to wszystko wyglądać. Nie tak...

Przez chwilę śledziłem wzrokiem szybującą nad plażą mewę, potem szybko dopiłem kawę i wstałem od stolika. Decyzja, którą właśnie podjąłem, była definitywna. ♦

Z życia zdjęte

Ech marzenia! Powroty do młodości, do wspomnień. Czy naprawdę nie byłoby lepiej, gdyby je pozostawić w odległej przeszłości, za sobą? Pozostawić takimi, jakimi były? – Świeżymi, wzniosłymi, wypełnionymi romantyzmem pierwszych doznań; wzlotów, upadków, uniesień?

Czy naprawdę trzeba to sprawdzić, żeby uwierzyć, że tak jak nic nie wróci nam młodości, nic też nie wróci szans straconych bezpowrotnie?

A bagaż doświadczeń, składanych latami – rupieci upychanych w kącie samotności? Czy trzeba go rozrzuć, rozbebeszyć i niczym śmietnisko pozostawić na pastwę żywiołów? Czy może lepiej, żeby tkwił w kącie życia, niczym domowy ołtarzyk; tajemniczy relikwiarz przeszłości, nigdy do końca nie odtajniony?

Gdy pociąg wtaczał się na dworzec w Opolu, Szczepan tkwił w oknie, obserwując perony.

Są! I one też go zobaczyły. Z radości podskakiwały jak małe dziewczynki.

A potem mocno się wyściskali.

– Najpierw zjemy u mnie obiad. – Róża była podniecona. – Przy okazji poznasz moją rodzinę, syn ucieszy się, że nie będę sama na jego weselu. Miał już dość samotności mamy.

– Nic nie mówiłaś o weselu? – zdziwił się Szczepan.

– Bo to jeszcze nie teraz. Za sześć tygodni. Jeszcze wszystko dogramy...

Gdy wchodzili do klatki schodowej, poprosiła, żeby się nie wystraszył, w mieszkaniu ma dwa psy. Robią dużo hałasu, ale są niegroźne.

– Psy? – też o tym nie wiedział. I miał nadzieję, że nie spędzi zbyt wiele czasu w towarzystwie psów.

Inaczej też Szczepan sobie wyobrażał mieszkanie Róży. W sytuacji, gdy zorientował się, że to zwykła klatka w betonowym czteropiętrowym bloku – epokowy wyraz troski partii o dobro socjalistycznego narodu – zwątpił, czy mu wypada chwalić się swoim – współczesnym wytworem Polski solidarnej.

Na podstawie tego co Róża mówiła wcześniej o swoim mężu i co wiedział o jej pracy, żywił nadzieję, że jej mieszkanie jednak czymś się wyróżnia.

Pomylił się. Dwa skromne pokoiki, mała kuchnia, stare mebleścianki, powycierane wykładziny, kilka poszarzałych reprodukcji na betonowych ścianach – oklejonych niemodnymi już tapetami...

– Mniejszy pokój zajmuje na razie syn, ale już niedługo, bo po ślubie wyprowadzi się do żony. Będę mogła tam przenieść babcię, której urządziłmy kąt do spania w kuchni. Nie ma jej teraz, wyjechała na tydzień do mojej siostry – wyjaśniała.

W tym większym pokoju, który niby należał do niej, oglądało się telewizję, spożywało posiłki, wychodziło się z niego na balkon, no i oczywiście przyjmowało gości.

– Mieszkanko mam skromne – tłumaczyła się Róża – ale niedawno odnowiłam

sobie łazienkę. Zobacz, mam kafelki i nową wannę – otworzyła drzwi do pomieszczenia, gdzie odbywało się kąpanie, pranie i załatwianie potrzeb naturalnych.

Co można zrobić z łazienką w betonowym bloku, wie niemal każdy, ale co w takim mieszkanku zrobić z dwoma psami?...

Dwa rasowe buldogi belgijskie opanowały całe mieszkanie. Przynajmniej tak się wydawało, bo nie sposób było pozbyć się ich ani na chwilę.

Szczepan z przerażeniem spoglądał na nogawki swoich nowych bawełnianych spodni z dodatkiem wełny, z trudem odepdzając się od ich psich serdeczności.

– Zaraz je wygonię na balkon. – Róża przywołała buldogi i wyprowadziła je na balkonik, zamykając za nimi drzwi.

– Gorąco u ciebie – zauważył Szczepan. – Nie lepiej pozostawić drzwi otwarte. – Nie śmiał powiedzieć jej wprost, że drażni go intensywny psi zapach, którym wypełniona była atmosfera domu.

– Nie mogę zostawić otwartego balkonu, bo za oknem są garaże i zakład hydrauliki, śmierdzi smarami. Zwłaszcza teraz, latem. Gdybym mieszkała wyżej, nie na parterze, byłoby może znośniej...

Gdy podała kieliszki, przypomniał sobie, że pracowała w gastronomii. Przyzwyczajenie czy zamiłowanie do staroci?

Szkoło przypominało mu czasy, gdy z takich samych kieliszków pił alkohol w knajpkach Sycowa.

Na utrapienie gości pod balkonem biegały obce psy i buldogi Róży za cholerę nie dały się uspokoić. Nie pomagały nawet luksusowe czekoladki, które przywiózł dla kobiet i które bydlaczki pochłaniały w całości. Dobrze, że zdobył się na odwagę i zaproponował, żeby Róża poczęstowała też Irenę.

– To są moje kochane piesiuńki! Moje pieścidełka. Moje, moje... – nianczyła oba paskudztwa i przytulała twarz do ich zaślinionych pysków. Nawet jej nie przeszkadzało, że co i raz któryś mlasnął ją ozorem.

Szczepan z trudem skrywał obrzydzenie.

– Błę... Jak ty tak możesz tłamsić się z nimi? Lubię psy, ale w podwórzu, jak ktoś ma willę, duży ogród.

– Ja też nie lubię buldogów – zmarszczyła się Irka.

– Czy to znaczy, że też masz psy?

– Mam owczarka.

– A mieszkanie? Masz też takie, czy większe?

– Mieszkam w domku jednorodzinnym z ogródkiem.

– Jeśli tak, to rozumiem.

– Ty tak mówisz, bo nie zaznałeś takich przykrości, jak ja. Gdyby nie te psy, to nasze małżeństwo dawno by się rozpadło, zanim jeszcze... – I nie wiedzieć czemu, Róży łzy stanęły w oczach.

– To było jedyne wspólne nasze zainteresowanie i jedyna wspólna miłość – tłumaczyła się Róża.

– Nie przesadzaj. A dzieci? – zapytał.

– Mówię o czasie, gdy już dzieci stały się dorosłe.

A potem wyjaśniła, że jej mąż był działaczem związku kynologicznego. A jej pupile są rasowe, z rodowodami.

– To jest Wilo, a to Busia. Na pewno zauważyłeś, że mam tu wszędzie pełno sierści?

Przyznał, że trudno tego nie zauważyć.

– To niebawem się zmieni. Pancia – Róża powiedziała tak o sobie – kupi nową wykładzinę i wymieni nakrycia na fotelach. Tylko psinka wyzdrowieje. Bo od kilku miesięcy nie mogę jej wyleczyć z jakiejś cholernej egzemy. Śwędzi ją skóra i psiuńka czochra się o co popadnie.

W tym momencie Szczepan po raz pierwszy poczuł swędzenie i ciarki przeszły mu po plecach.

– A tobie co znowu? – zauważyła to Irena.

– Obawiam się, że za długo tu nie pogoszczę. Zaczyna mnie wszystko swędzieć.

– To dlatego, że Róża tak sugestywnie opowiada o chorobie Busi. Polej koniacku, to się napijemy i zaraz ci przejdzie. Widzę, że przywoziłeś koniak, a nie likier czeski? Pamiętałeś, że nie lubiliśmy tych czeskich likierów, które przemycaliś przez granicę?

– A jednak będziecie mi to wypominały?

– Co ty? Tak tylko mi się powiedziało.

Szczepan pomógł im rozłożyć ławę i zrobić z niej stół, do którego jeszcze coś dostawili. Róża okryła całość obrusem i wyszła do kuchni. Zbliżała się czternasta i za chwilę miały na obiedzie pojawić się dzieci: córka z mężem i syn z narzeczoną.

Przy okazji Szczepan dowiedział się, że Róża zawsze gotuje obiady dla całej rodziny, bo to rzekomo taniej.

To prawda, że potrawka z wołowiny była wysmienita. Równie dobra była, do wyboru, wieprzowina z suszonymi śliwkami. I ryż z sosem po wietnamsku i surówki były bez zarzutu; z przyjemnością potwierdził, że Róża jest świetną kucharką.

Zdania rodziny na ten temat były jednak odmienne.

Syn marudził, że z ryżem jest coś nie tak. Jej przyszła synowa robiła miny na widok sosu, a córka, wybrzydzała na mięso wołowe, z jakimiś – w jej ocenie – nieciekawymi przyprawami. Tylko zięć sprawiał wrażenie, że nie jadł kilka dni. Nie dał się też zachęcić do żadnej dyskusji.

Gdy pod koniec posiłku przy stole podjęto tematy rodzinne; co najchętniej wszyscy zjedliby następnym razem, co matka powinna zakupić i komu co załatwić w przyszłym tygodniu, Szczepan poczuł się nieswojo i zaproponował, że zejdzie na dół, do Super Samu po piwo. I zapytał, czy wszyscy mają na nie ochotę.

– Na piwo, jak posprzątam i pozmywam naczynia – wyjaśniła spocona Róża – pójdziemy do baru.

– My nie. Musimy już lecieć. Umówieni jesteśmy na brydża – w imieniu męża i swoim wyjaśniła krótko córka.

– My też się zrywamy, bo... – Padły jakieś wykręty syna i brzydkie dopowiedzenie: – a kolację trudno, zrobimy dziś sobie sami.

A dziękuję? A chwila rozmowy, odrobi-
na kurtuazji?... Kto wychowywał te dzieci?!
– pomyślał Szczepan.

Potraktowały go zresztą, jakby tam,
przy stole w ogóle go nie było. Więcej uwagi
poświęcono psom, co pożarły resztki, niż
gościom matki.

Szczepan przyjrzał się rodzinie, popa-
trzył na umęczoną twarz Róży i pomyślał
z żalem, że był skłonny uwierzyć, iż w jej
domu znajdzie się też miejsce dla niego.

Nie było tam ani krzty miejsca dla
obcego mężczyzny. Choćby nawet został
nowym mężem Róży, nie było tam dla
niego nawet szpary. I myśląc tak, puścił
oko do Irki.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Muszę ci wyznać, że czasami jest mi
jej szkoda. Ale to prawda z jej mężem i tymi
psami. Tylko, jeśli chodzi o potrzeby, psy
dołączyły do dzieci. No i pożytku z nich
tyle samo.

– Z psów chyba jednak więcej
pożytku – zawahał się. – Dają jej uczucie.
Dają Róży to, czego brakuje jej najbardziej.

O święta samotności! – westchnął w
duchu Szczepan. I zaraz też podziękował
Panu Bogu, że nie jest kobietą, nie ma
dwóch psów i licznej rodziny.

Że bluźnił? Chyba nie. Chociaż nie
wiedział jeszcze, że może być gorzej. Nie
poznał przecież do końca samotności
wdowy.

Róża – zmęczona życiem kobieta – nie
potrzebowała wcale kochanka. Potrze-
bowała tylko kogoś bliskiego. Kogoś, kto
by ją wyrwał z tego życiowego kierunku lub
przynajmniej sprawił, że w nim poczuje
się pewniej.

Gdy znaleźli się w barze, Róża uroniła
kilka łez. Wzruszyło ją, że nie może już tam
przychodzić na piwo z mężem.

Na spacerze popłakała się, że w ogóle
nie ma z kim chodzić na spacer.

Gdy Szczepan zgodził się obejrzyć jej
działkę w pobliskim ogrodzie działkowym,
pokazując mu niedokończoną przez męża
altanę, płakała rzewnymi łzami.

– Tu mąż miał mi zrobić sadzawkę...
– szlochała. – Tu miał być skalniak... –
ocierała łzy w kufak. – Widzisz w rogu te
polne kamienie? Zdażył tylko je przywieźć.
A w altanie, w taką pogodę jak teraz, nawet
byśmy sypiali...

Szczepan nie czuł się na siłach, żeby
zastąpić Róży męża. Gdy zapragnął znów
znaleźć się w mieszkaniu, przypomniał
sobie o psach. – Trudno, może teraz uda
się je zamknąć w kuchni lub na balkonie?

Miał ochotę napić się czegoś moc-
niejszego, a potem... tuż po dwudziestej
drugiej odjeżdża jego pociąg.

A tymczasem Irenie też udzieliła się
nostalgia Róży. Gdy w dyskusji po raz drugi
wróciła do pogrzebu swojego męża, nie
wytrzymała.

– Kobiety! Weźcie się w garść, do cho-
lery! Każdy z nas kiedyś umrze, tak jest świat
urządzony. Chcecie, żebym tu płakał razem
z wami?!

Róża otrząsnęła się pierwsza. Przypo-
mniała sobie nawet, że w lodówce ma ciasto.
Gdy wrócili do mieszkania, z myślą o nim
wyszła do kuchni.

Irka wykorzystała ten moment. – Wiesz,
muszę ci coś wyznać. Uświadomiłeś mi teraz,

że tak naprawdę, to my same nie wiemy,
czego szukamy.

Otarła kąciki oczu higieniczną chu-
steczką i z pełną szczerością spojrzała na
Szczepana.

– Ja wiem, to szukanie bliskości – pod-
powiedział jej. – Człowiek za bardzo oddalił
się od drugiego człowieka.

– Bo widzisz – przerwała mu – gdy cię
zapraszałem, plotliśmy wcześniej o seksie.
A ja, pamiętasz, jak głupio zaszłam w pierw-
szą ciążę? Miałam już wtedy chore jajowody.
Cud, że urodziłam drugie dziecko, to scalało
mój związek z Robertem. To był naprawdę
anioł, nie mąż. Przecież niedługo potem
usunięto mi... wszystko, wiesz? Róża nawet
nie wie o tym.

– Tak mi przykro – Szczepan jej współ-
czuł. Chyba nawet poczuł się nieswojo,
gdyż nie spodziewał się, że wystąpi w roli
pocieszyciela.

– Ale żyję. I na dobrą sprawę mam dla
kogo żyć. Tylko czasami, rozumiesz, czło-
wiek jest bezsilny. Niby wśród swoich, a taki
samotny.

No właśnie, jak to jest? – potwierdził jej
spostreżenia. – Wśród ludzi, a tak trudno o
kogoś bliskiego?

– Zrobiłam też kanapki, bo i czas kolacji
się zbliża. – Róża wniosła tacę z kanapkami
i herbatą. Psy oczywiście płatały się jej pod
nogami.

I wtedy Szczepan poczuł, że bardzo
chce mu się podrapać po plecach. A potem
zaczęło go też bardzo swędzieć pod pachami.

– Do Ireny pojedziemy jutro rano –
zwróciła się do niego, a potem położyła
dłonie na psich łbach – a moje kochane kun-
delki pojedą dzisiaj do niej na noc. Pojadą
na działkę do obcej panci.

– Nie chcę twoich psów. Zamkniesz je
w łazience albo wyprowadzisz na balkon. Z
tym moim Azorem zrobiłyby razem piekło.

– Nie będzie potrzeby ich wywozić,
bo... – wtrącając się do rozmowy pośpieszył
z wyjaśnieniem Szczepan – przykro mi Ró-
życzko, ale będę musiał was opuścić. I nic
na to nie poradzę.

– Ale dlaczego? – Róża pomyślała, że
poczuł się czymś urażony.

– Zobaczcie. – Rozchylił koszulę na
piersi i pokazał zaczerwienione ciało.

– Co ci się stało? – zapytały równocze-
śnie.

– Dostałem uczulenia. Nic wam nie
mówiłem, bo dawno nie stykałem się ze
zwierzętami i myślałem, że może nic mi nie
będzie, ale niestety.

– Uczulenie na moje pieski? – Róża była
zaskoczona.

– Podobno na sierść. Już swędzi mnie
całe ciało.

– To możesz się wykapać, wziąć prysz-
nic...

– Wezmę po powrocie, ale to i tak nic
nie da, muszę zażyć leki; wapno i Thiori-
dazin.

– Coś takiego? – niedowierzała Irena.

– To straszne. Widzicie pieski, co przez
was spotkało mojego przyjaciela? – Róża
zwróciła się do kundli. – O matko! To co
ja zrobić? Busia jest chora, to najwyżej się
ją uśpi, ale z tobą, Wilo? Zdrowego pieska
uśpimy?

– Ty chyba zwariowałaś?! Uśpiłabyś
swoje psy?

– Jeśli miałbyś mi przez nie chorować?

– Wariatka – zwrócił się do Irki. – Prze-
cież to cała jej miłość.

– A wiesz, Różyczko, że momentami im
zazdroszczę? Tyle czułości, co ty psom, nikt
nigdy w życiu mi nie okazał.

– Przelejemy tę miłość na ciebie – od-
parła ze spokojem.

– Lepiej się napijmy – próbował znaleźć
lepsze rozwiązanie. Zbyt pochopnie jednak,
bo... – Chociaż tak naprawdę – przypomniał
sobie – to przy uczuleniu alkohol raczej
szkodzi. – Ale nasunęło mu się porównanie:
Żeby tak miłość dało się jak trunek wlać do
butelki i rozlać w kieliszki.

Gdy nieco ochłonął, zapytał. – Dziś dla
mnie uśpiłabyś psy, a jutro – jak się okaże,
że ich nie zastąpię – kogo, Różyczko, uśpisz?
Na razie to ty musisz do końca otrząsnąć się
po śmierci męża. I ułożyć życie dzieciom. A
przede wszystkim je usamodzielnąć.

– Są samodzielne.

– Ale nie do końca. Samodzielne
będą wtedy, gdy ty nie będziesz przy nich
niewolnicą.

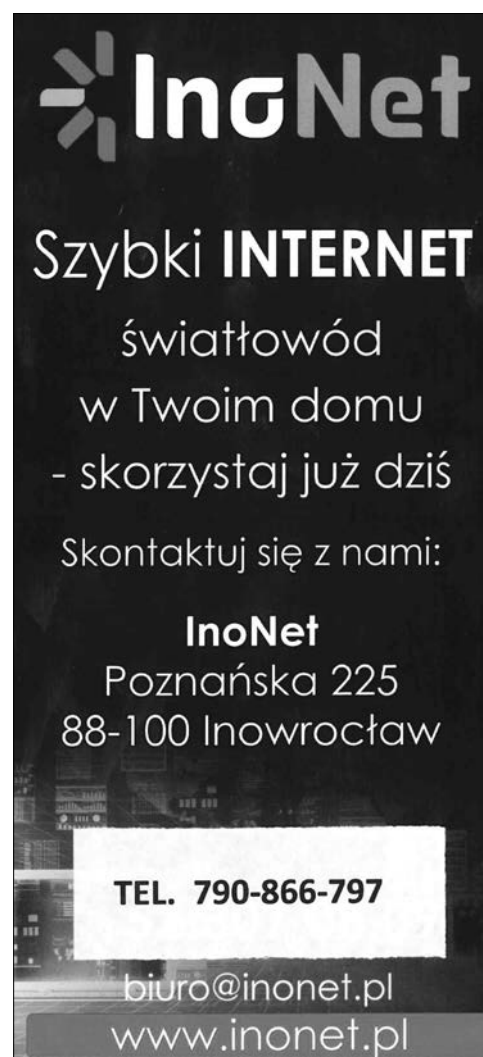
– Tak myślisz? A Irena?

– Co się martwisz o Irenę?..

Róża z Ireną odprowadziły go na
pociąg. Po drodze wstąpili jeszcze do ap-
teki, po leki na uczulenie. Rozstali się w
przyjaźni.

Wracając, długo wpatrywał się w noc
za oknem pociągu i rozmyślał. Czasami im
mniej wiemy o innych, tym lepiej. Chociaż i
prawdą jest również, że na nasze smutki nie
ma lepszego lekarstwa jak smutki innych. ♦

*/Opowiadanie powstało na podstawie pamiętni-
ka autora „Z życia zdjęte – 2003–2004” t. VIII/.*



InoNet

Szybki INTERNET

światłowod
w Twoim domu
- skorzystaj już dziś

Skontaktuj się z nami:

InoNet
Poznańska 225
88-100 Inowrocław

TEL. 790-866-797

biuro@inonet.pl
www.inonet.pl

Ewa Kłobuch

Nie ma dla mnie innych miejsc

więc noc pani Rózo noc
ale jaka

jest tak ciemno że nie widać strachów
czyhających pod łóżkiem
tylko kurz
i cóż

to chyba dobrze
nie muszę się już bać
zazdrościć innym włosów i zabaw
w pobliskim parku też noc
i to jaka

można beztróska biegać
i śmiać się w głos
bez zakłócania ciszy po sobie
po mnie kto

czy tylko ona i wiatr
kołysze pozornie pustymi huśtawkami
bezboleśnie i miarowo sączy się czas

a kropłówka kap kap
usypia czujność
oddalonej o pewność podłogi
bo przecież jestem

ale jak
tak że to strachy zaczynają się bać
teraz one pani Rózo

jak uchodzi światło
wiesz
widziałeś może dokąd
gdy tu już wszystko stracone
i świeca i płomień
zapałka której drugi raz
nie zapalisz
choćbyś tarł draskę
do ostatniej drzazgi

widziałeś
wiesz jak gasną oczy
i usta w nich słowa
których ktoś się domyśli
przeczuwając czas i drogę

i tylko miejsca nie zobaczy
na żadnej z map
nie znajdzie w którą stronę
zawraca świt zmęczony dniem
przed nocą
która na nic już nie odpowie

Do niedoczekanych zim

to tylko sen

dlatego nie można przyjąć za pewnik
że światło zmieszane z kurzem
formując się w belki podtrzymuje stropy

pewnie mogłoby to trwać
gdyby nie budzik albo podmuch podcinający podpory
niedostrzegalnie a jednak mąci ich spokój

od tej chwili dni spadają przedwcześnie
nie wyzbywszy się porannej goryczy
prowokują tapnięcia

przejścia nie bołą tłumaczyłeś jak dziecku
ot jeszcze jedna mała śmierć
niewidoczna z kosmosu nie zatrzyma tramwajów
tym bardziej Ziemi w jej pędzie donikąd

tylko powietrze zrzędzie na moment jak miny nad próżnią
zdumione brakiem choćby cienia
o który można by się oprzeć jak o słowo

bez sensu więc milczę
i jakby nie na temat
przesuwam zapałką po drasce
wierząc że żarem wypalę nam skrót

- do jutra

zanim wejdiesz w atmosferę

linię
zamiast sierści gubię dni
powszednie i święta
po których nadal masz raka
ja trwonię czas jaki nam został

jeszcze się nie boję
choć przybywa kruków za moim oknem
niebo czernieje od skrzydeł
krzyżując drogi
prowadzące dotąd na przestrzał
uważaj

nie pilnujesz wiatru
ten zmienia kierunki myli znajome ścieżki
zgubią nas
i nie znajdziesz już miejsca by zawrócić

coś mnie ominęło
nie potrafię tego nazwać
nie mam takiej potrzeby
zresztą
odkąd okno zarosło czarnymi chmurami
nie mam oczekiwań względem słońca

tego się nie wypleni
nie wytnie nie spali
zbyt duża wilgotność
i jedna pora dnia
czy może nocy
obranej z gwiazd i lamp
jakby światło szkodziło żalobie

wchodziło w konflikt
z chłodem zastygłych warg
z ciszą w jakiej przychodzi się nad urwisko
popatrzyć jak bezszelestnie schodzą w dół
drobinki piasku na wzór
zatrzymanego w pół wydechu powietrza

nie płaczcie nad kośćmi umarłych
co im z tych łez
spóźnionych obecności
i wyznań

nie usłyszają
z miejsca gdzie idzie się całe życie
skąd wraca się całą śmierć
dłuższa jest od życia o wieczność

ostatnia prosta bywa ostatnią
do momentu w którym samozwańczo
przechrzci się na powrót w pierwszą
takie jej prawo i wola

gdy w ciasnym szeregu
imię przy imieniu
stojąc powtarzają się co jakiś czas
i nie ma pewności które wołane jest
a które odwołuje się
do wczoraj

Przekleci

Ciemno.
Mijały dłużące się minuty, godziny i dni.
Niezapamiętana noc panowała w pomieszczeniu z nędznie zbitych desek, w drewnianej klatce bez okna i drzwi, prostokacie wyłożonym pozostałościami siana, klaustrofobicznie dusznym, położonym gdzieś pod posadzką. Wśród odchodów myszy, owłosionych odnóży zbyt wielkich pajaków, we wnętrzu metalowego koła, porzuconego przez trupę objazdowych cyrkowców kucała postać. Trząsała się bezszelestnie, mrugając co chwila, stąd widać było białka jej oczu. Na górze [nad nią] usłyszeć można było głosy kroków, powolnych i ciężkich, jak i tych szybkich, tętniących niczym końskie podkowy. Z niekończącego się snu wyrwały ją pojedyncze słowa: Verfluchten [Przekleci]. Zanim szum na górze ustał, usłyszał dobiegający dźwięk tłuczonego szkła, coś ciężkiego upadło na drewnianą podłogę, następnie zrobiło się zupełnie cicho. Upłynęło kilka minut, chodź dla niego trwały one niczym wieczność. Wiek podłogi otworzyło się, do klitki wpadły pojedyncze promienie sztucznego światła, postać o wyraźnie siwych włosach nachyliła się i powiedziała:

„Poszli sobie”.

Poruszał się powolnie, siermiężnie, jak gdyby komunikat nie dotarł do jego mózgu, ruchami słamazarnymi pełził pod wiązkę sztucznego światła, gdy już się przy niej znalazł, nareszcie oświetlony z czarną, bujną czupryną, szczupły wręcz kościsty stał

chwilę, przygarbiony. Młody człowiek, który wyglądał na starego. Przegrywającego z otaczającą rzeczywistością.

„Jedz, musisz jeść”, na drewnianym, ciemnym stole leżał gliniany talerz na nim gruba kromka jasnego chleba, posmarowana żółtym, tłustym smarowidłem, obok stał kubek bez ucha wypełniony po brzegi białym napojem. Chłopiec siedział na zydlu ze wzrokiem wbitym w deski podłogi, nie patrzył na talfe stołu, nie podnosił rąk po posiłek.

„Musisz jeść”, powtórzył głos, jednak nie spotkało się to z reakcją dziecka. Siedzieli tak długo, wprost niekończącą się chwilę, po czym głos wstał, podpierając się na ciemnej lasce, przeszedł wzdłuż kaflowego pieca, oparł się o niego plecami i delikatnie opadł na podłogę.

„To się kiedyś skończy, to się musi kiedyś skończyć”, głośno i wyraźnie powtórzył formułkę.

„A kiedy się skończy, ty nie będziesz miał siły stąd wyjść, bo nie jesz, rozumiesz?”.

Chłopiec pokiwał łagodnie głową.

„Odszukasz i wrócisz do Nich, ale musisz nabrać sił”, powtórzył głos. Trzęsącymi się dłońmi dziecko sięgnęło po wciąż jeszcze ciepły kubek z mlekiem, część wylała się na brudną podłogę, część została przez nie wypita.

„Sąsiedzie, a co to, śpisz na podłodze”, głośno wypowiedziane pytanie wybudziło go ze snu.

„A nawet nie pamiętam, kiedy żem zasnął, pomóż no mi wstać”, łysy mężczyzna wyciągnął grubą dłoń w stronę staruszka, ten złapał ją łapczywie po czym uwiesił się na niej powoli wstając spod kaflowego pieca.

„Niemcy byli tu?” zapytał sąsiad.

„A byli, skurwysyny”.

„Bili sąsiada?”, dopytywał.

„Gdyby bili, to bym oddał”, odparował mężczyzna.

„Bajdurzysz, to bymy tera nie gadali, ino rychło bym kopał ziemie za stodołą”, z przekąsem powiedział sąsiad.

„Powiedział, coś wiedział, a mnie i tak wszystko jedno”, podsumował starzec.

Przechadzając się po kuchni rzucił okiem na puste miejsce przy stole, zostało na nim niedopite mleko i mroczny gliniany talerz. Noc nadchodziła spokojnie, choć wieczór stawał się teraz coraz bardziej chłodny, ogień trawił poszczególne prostokąty drewna, wypuszczając języki iskier w kilku kierunkach. Starzec siedział w kuchni pogrążony w rozmyśleniach. Okupacja odarła go z nadziei, obawiał się kolejnych przeszukań. Od roku zasypiając śnił wciąż jeden i ten sam sen: dwudziestoletni on w dniu swojego ślubu, [szybki kadr przedstawiający ołtarz kościelny], ksiądz w mundurze wojskowym błogosławiący im, [kadr zmienia się, przystrojone białymi i niebieskimi wstążkami podwórko], otwarta na oścież krzywa, drewniana brama, kompani w mundurach trzymający w dłoniach butelkę z przezroczystą cieczą, a za nimi kapela muzyczna złożona z Romów bębniarz, akordeonista, tamburyniarz i fletniarz, grający najpiękniejszą mu-

zykę jaką kiedykolwiek słyszał, zaczarowani trubadurzy w poświacie z naturalnego słońca. [Przejsie].

Pary fruwały na drewnianym podeście, który delikatnie ugiął się w rytm ich kroków, stukot podkutych butów oficerskich wypełniał całą ulicę, a ta wyjątkowo ciepła i łagodna noc majowa zdawała się trwać w nieskończoność [dzień przyszedł wtedy zdecydowanie później niż zazwyczaj]. A być może nie przyszedł wcale. Weselna grupa muzyczna złożona z Romów występowała na wielu przyjęciach w Miasteczku. Ich niezwykle muzykalność, połączona z posługiwaniem się przez nich instrumentami w sposób niewyuczony, a zatem nabyty, powodowała wyjątkową oryginalność. Co niektórzy przypisywali nawet aspekty magiczne samemu instrumentom używanym przez nich. Zarabiając na życie występami okazjonalnymi, zdecydowali się położyć kres nomadyzmowi, zachowując się wbrew tradycji, osiedlili się w porzuconym wagonie kolejowym, mieszczącym się w samym środku sosnowego lasu. Skąd tam się wziął? Mówiono, że jeszcze przed wojną grupa zbrojna uprowadziła go z pobliskiego torowiska, tworząc tym samym mit założycielski swojej działalności przestępczej w Miasteczku. Teraz wagon przeszedł w ręce Romów, którzy trzymali w nim swoje instrumenty, spali, biwakowali oraz ćwiczyli kolejne autorskie utwory. Zaaklimatyzowali się w Miasteczku, stali się pewną jego częścią, nierozdzielnie związaną z pozytywnymi przeżyciami, jakie niesły ze sobą huczne wesela. Postąpili jednak wbrew tradycji, co prędzej czy później miało odbić się na ich losie w sposób jednoznaczny - negatywny. Przyszła wojna, pogrzeby odbywały się znacznie częściej niż wesela. Noce były krótsze, niebezpieczne i zimne, dni kryły w sobie niezapowiedziane, które przechodziło w byt za pomocą huku wystrzałów. Potrzebowano muzyki, ale zdecydowanie innej, niż ta magiczna weselna, takiej, która zagrzewała do sięgnięcia po broń, do walki w obronie kraju. Nastroje społeczności Miasteczka także się zmieniły, od teraz każdy dbał o siebie samego, broń stanowiło nieufne podejście do sąsiada, a co dopiero do tych obcych, którzy mieszkali w starym wagonie kolejowym. Gdy muzycanci przechadzali się pokrętnymi, bocznymi ulicami zamykano okiennice, unikano z nimi kontaktu, udawano, że ich tutaj nie ma i nigdy nie było. Zapominano. Aż w końcu wojska dotarły także tu, a wraz z nimi wdowa Wojna, która miała na sumieniu niejednego męża. W samym centrum Miasteczka powiewały od teraz inne flagi, miejsca, kiedyś renomowane stały się własnością obcej armii, a swąd strachu ciągnął się po ulicach zatruwając umysły mieszkańców, budząc lęk i strach przed rychłą śmiercią. Ten kto się jej nie bał, ginął z szeroko pojętą bronią w rękę, jednak większość się jej po prostu bała. I nic w tym dziwnego, bo człowiek w swej naturze ma chęć przetrwania, choćby za wszelką cenę. Wdowa Wojna domagała się jednak ofiar, bez nich nie potrafiła funkcjonować, bez nich nie miała najmniejszego sensu. Szukała ich w kamienicach i domach z drewna, na krzywo wybrukowanym placu i pośród listowia starych dębów, wśród starych i młodych, kobiet i mężczyzn. Trafiła także na przedmieścia, a stamtąd prosto do porzuconego niegdyś kolejowego wagonu. Najpierw jednak przyszli do ich rodzinnego domu. Drewniana furta

dokończenie na str. 28

Zakład Optyczny



**AUTORYZOWANA
PRACOWNIA OPTYCZNA
ZAPRASZA**

Pn. - pt. 10:00 - 18:00

Sob. 10:00 - 13:00

D.H. HERMES
ul. Wojska Polskiego 23
52 361 96 46

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., śr., czw., pt. od 16:00

ul. Niedźwiedzia 7
52 322 47 47

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30

Przekłęci

dokończenie ze str. 27

otworzyła się za pomocą kilku niedbanych kopnięć ciężko podkutych butów. Zanim weszli do domu, wyskoczył na ganek, próbując przekonywać żołnierzy, że nikogo tutaj nie ma, a on sam nie jest zaangażowany, padł po wpływie ciosu zadanego wzmocnioną kolbą karabinu. Sen trwał nieprzerwanie, krzyki i nawoływania nie potrafiły go nań z niego uwolnić. W podświadomych wizjach ujrzał ją bitą i upokarzaną, w kuchni pod kaflowym piecem pełno jasnoczerwonej cieczy, jak gdyby malarz rozrabiał tam farbę w wiadrze przed malowaniem obrazu. Doczołgał się do drzwi wejściowych, trzymając się za tył głowy, z której ciekła gorąca i lepiała się maź. Przytrzymując się ściany dotarł do kuchni i jak najgłośniejszym głosem powiedział:

„Dość! Zostawcie ją, ona nie ma z tym nic wspólnego. Dwadzieścia minut stał, w lesie koczując czterech, w starym wagonie kolejowym...”

„Zaprowadzisz nas, teraz”, masz żołnierz rzucił mu brudny, zimny ręcznik. Wytrzyj łeb i nie traćmy czasu. Przedzierali się przez gęstwinę traw i krzewów, słońce powoli zachodziło nad ich głowami, przypominało teraz odcień koloru pomarańczowego, delikatne gałęzie złożone w ofierze pod drzewami łamały się pod naciskiem oficerskich butów. Zbliżali się do wagonu kolejowego, dostrzegli dwóch Romów siedzących przy małym, skrzącym się licho ognisku, pozostałych dwóch prawdopodobnie przebywało w tym czasie w środku. Ci przy ognisku zginęli pierwsi. Młodszego znajdującego się po lewej stronie tłącego się żaru, zabito strzałem z karabinu snajperskiego, śmiertelna rana wyrosła pomiędzy czarnymi niczym smoła brwiami, przybrała barwę ciemną, upodabniając się do karnacji ofiary. Drugiemu z mężczyzn żołnierz sprawnym ruchem grubego, długiego noża podciął gardło tak, że trzymająca się na ścięgnaх głowa opadła raptownie do przodu, wpadając tym samym w sam środek tłącego się ogniska. Po upewnieniu się, że dwaj pozostali niegdyś muzykanci przebywają w środku wagonu, zaryglowano drzwi wejściowe potężną drewnianą balą, a przez uchylony lufcik okna, wrzucono do środka dwa granaty, prostokątny wagon złożył się niczym domek z papierowych kart, ukrywając w środku okaleczone ciała dwóch osób. Patrząc z perspektywy bezpiecznej, opierając się o dąb z gigantycznymi korzeniami, płakał bezgłośnie, a lzy grube i ciężkie spadały wprost na miękkie poszycie lasu. Widząc jego reakcję, żołnierze zaczęli się głośno śmiać, przypominając teraz rechotające ropuchy, podeszli do niego wolnym krokiem, w czterech niczym wilki, które wyczuły krew, jednego z nich przewrócił go na ziemię, padł na miękkie mech, w którym zagłębił twarz, na czas, kiedy został przez nich okopywany. Kopali dopóki nie stracił przytomności, obitego, nieprzytomnego pozostawili w lesie, a sami wrócili na prowincję Miasteczka. Wracał do domu kulejąc, podtrzymując się co rusz sztachet drewnianych płotów, słońce nad nim zachodziło, tworząc pomarańczową poświatę. Będąc już przy własnoręcznie wbijanych opłotkach, odczekał aż Miasteczko ogarnie bezmiar ciemności, wtedy niby nieproszony gość przekroczył drewniany próg domu. ♦

Stanisław Dłuski

Czy poezja jest potrzebna?

Czy poezja jest potrzebna w dzisiejszych czasach? Czy w miejsce słowa nie wchodzi kultura obrazkowa i kultura masowa, która coraz częściej nie wymaga od odbiorcy skupienia, lecz natychmiastowej reakcji? Obraz pojawia się na ekranie i znika. Film trwa kilkanaście sekund. Informacja zostaje zastąpiona komunikatem, komunikat obrazem, obraz krótkim filmem. Coraz mniej czasu pozostaje na to, co nie daje się szybko obejrzeć, polubić, skomentować.

A przecież poezja od początku swojego istnienia była sztuką czasu. Wiersza nie zawsze można zrozumieć przy pierwszym czytaniu. Czasem trzeba do niego wrócić po kilku dniach, miesiącach, a nawet latach. Niektóre słowa zaczynają znaczyć coś innego dopiero wtedy, kiedy zmieni się nasze własne życie. Wiersz dojrzewa razem z czytelnikiem.

Kultura obrazkowa ma nad poezją jedną zasadniczą przewagę: jest natychmiastowa. Obraz nie potrzebuje objaśnienia. Przynajmniej pozornie. Widzimy twarz, krajobraz, katastrofę, wojnę, reklamę, czyjeś mieszkanie, czyjaś rozpacz. W ciągu kilku sekund otrzymujemy gotowy komunikat. Słowo działa inaczej. Nie pokazuje świata bezpośrednio. Zmusza nas do jego stworzenia we własnej wyobraźni.

Być może właśnie dlatego poezja nie przestała być potrzebna.

Wiersz nie konkuruje z obrazem na jego zasadach. Nie musi być szybszy, bardziej efektowny ani bardziej widowiskowy. Jego siła znajduje się gdzie indziej. Poezja może zatrzymać człowieka w miejscu, w którym wszystko wokół niego domaga się natychmiastowego ruchu. Może powiedzieć: przeczytaj jeszcze raz. Zostań przy tym zdaniu. Nie przewijaj.

Żyjemy w epoce nadmiaru informacji, ale niekoniecznie w epoce nadmiaru znaczeń. Codziennie otrzymujemy tysiące komunikatów, a jednak coraz trudniej powiedzieć, co z nich naprawdę pozostaje. Pamiętamy obrazy, nagłówki, twarze, fragmenty wypowiedzi, reklamy. Pamiętamy emocje wywołane przez wiadomość, ale często nie pamiętamy samej wiadomości.

Poezja może być próbą ocalenia tego, co nie mieści się w szybkim komunikacie.

Nie oznacza to jednak, że poeta powinien uciekać od współczesności. Przeciwnie. Jeżeli poezja ma dzisiaj znaczenie, powinna mówić o świecie, w którym żyjemy: o samotności wśród ludzi, o ekranach, które stały się częścią codziennego życia, o starzeniu się, chorobie, śmierci, wojnie, pieniądzu, pracy, seksualności, polityce, religii, niewierze, bezdomności, lęku i nadziei. Nie po to, aby komentować rzeczywistość jak dziennikarz, ale żeby dotrzeć do jej doświadczenia.

Poezja zaczyna się tam, gdzie kończy się gotowy komunikat.

W kulturze masowej człowiek jest przede wszystkim odbiorcą. Ma coś zobaczyć, usłyszeć, kupić, polubić, udostępnić. Poezja proponuje mu inną rolę: czytelnika. A czytelnik nie jest bierny. Musi dopowiedzieć to, czego w wierszu nie ma. Musi wejść pomiędzy słowa. Musi uruchomić własną pamięć i własne doświadczenie.

Dlatego dobry wiersz nie musi wszystkiego wyjaśniać. Być może nawet nie powinien.

Wiersz pozostawia miejsce dla ciszy. A cisza stała się dzisiaj dobrem deficytowym.

Nie chodzi oczywiście o przeciwstawienie sobie słowa i obrazu. Poezja od dawna korzysta z obrazowości, a współczesny obraz może być równie ważny i głęboki jak słowo. Problem pojawia się wtedy, gdy obraz zastępuje myślenie, a szybkość zastępuje uwagę. Wtedy kultura staje się nie tyle kulturą obrazu, ile kulturą powierzchni.

Poezja może być oporem wobec powierzchni.

Nie musi być jednak wielka, wzniosła ani „ważna”. Może mówić o kubku stojącym na parapecie, o czyjejsz nodze wystawionej spod koldry, o autobusie, który spóźnił się dziesięć minut, o pustym mieszkaniu, o człowieku patrzącym nocą w ekran telefonu. Właśnie w tych drobnych rzeczach często znajduje się doświadczenie epoki.

Poeta nie jest dzisiaj kapłanem słowa. Nie jest też kimś, kto posiada szczególną wiedzę o świecie. Jest jednym z ludzi, którzy próbują nazwać to, czego jeszcze nie potrafimy nazwać albo co zostało przez nas zbyt szybko przemilczane.

Czy poezja jest więc potrzebna?

Nie wszystkim. I nigdy nie była.

Nie jest potrzebna człowiekowi, który nie chce czytać wierszy. Nie jest potrzebna tak jak chleb, lekarstwo czy mieszkanie. Nie rozwiąże problemu samotności, wojny ani biedy. Nie zatrzyma katastrofy klimatycznej. Nie naprawi państwa.

A jednak może zrobić coś mniejszego i zarazem bardzo istotnego: przypomnieć człowiekowi, że nie jest wyłącznie konsumentem informacji.

Może przywrócić mu uwagę.

Może powiedzieć, że jego życie, nawet zwyczajne i pozornie pozbawione znaczenia, zasługuje na chwilę skupienia.

W świecie, w którym wszystko chce być natychmiast widoczne, poezja pozostaje sztuką tego, czego nie widać od razu.

I być może właśnie dlatego poezja jest potrzebna bardziej, niż nam się wydaje... ♦

Stefan Pastuszewski

Noc Jolancie Baziak

Nocne żale nie mają końca
Tak jak ciemność, która
nie zna horyzontu
i wciska się wszędzie
Zamknijmy więc nasze myśli
na klucze przeobrażeń
Doczekajmy do słońca poranka
ono wszystko rozjaśni

Promień Córce Kindze

Wpadasz jak promień słońca
Płonie już wszystko
Jesteś tu i tam
Przystań choć na chwilę
jednego spojrzenia

Maria Kosaciec

ten sam płomień

zapalasz się w mojej głowie
bez zapalek
bez ostrzeżenia
i nie gasisz od lat

kładę dłonie na starym stole
drewno pamięta nasze łokcie
zostawia na skórze
ciepły ślad

próbuję przesadzić kwiaty w donicze
korzenie wracają do tamtej ziemi
pachną tobą
choć podlewałam deszczem

noszę w portfelu bilet bez powrotu
z datą naszego śmiechu
kasownik go nie dotyka
bo jest nieważny dla świata

wieczorem liczę zmarszczki na lustrze
każda prowadzi do ciebie
nie umiem zabłądzić
choć minęło tyle dróg

Anna Czyrska

Zaślubiny (nieślubne dzieci)

Tylko mężczyźni mogą nie wiedzieć, że są
ojcami
przytyją tylko od piwa
czekają na wpływ
spływy

wczoraj i dziś widzę mój ślub
impreza
typowa musi być huczny
huczne pijaństwo
z miłości

szczęście dla pary
mieszkanie na kredyt
i płodność spisana w testamencie

lepiej dziś spisać intercyzę

Małgorzata Mittelstadt

kłębek

rozwijasz mnie
lekko z kłębka
lubię być
taka miękka
kiedy masz
zręczne dłonie

trochę się różnię
od siebie
przez twoje
zaskoczenie

jestem piękna

Piotr Szczepański

chciałbym pogodzić

tęsknię za winem
wierszami bez przecinków
załakowałam butelkę
umierający dzinnie
płci żeńskiej

wyjdź jeszcze na chwilę
weź ucałuj
ugryź
bym nie umarł

nie mogłem cię dobudzić
tamtego dnia
stapasz ciężko po plantach
jak mały piesek

nawet z roweru
schodzisz na mój widok
pobrzękując ostrogami

łżejsi w ciastkarni
bezglutenowej
a tyle mięsa za nami

Katarzyna Kowalewska

przerysowane obrazy
piękniejsze twarze
niewygodny profil
lubię retusz
w głowie
pełnej tajemnic
w głębinach oczu
kawałek dnia
całą nocą dotykam...
języka
bez słów...

Marek Bocian

Koniunkcja

Czerwi się stara miłość
na bielonej jabłoni.

Chcemy ją rąbać trzewia ogrzać.
Ucieka do gwiazdy.
Wapnem ścieli drogi mleczne
opodal szopy pochylonej.

Musimy ją dopaść:
czerw pożre kostropate
splecione dłonie.

Wnet Mars z Wenus
wzejdą szkarłatem
opodal szopy
pochylonej.

Sandra Kocha

Rdzawa powłoka

Ceglane ściany się zasklepiły
to, co miało się stać
się stało

skaczemy po czerwonych pudełkach
z każdego wyjmując róży podwoje
wydaje się nam, że świat się zmienia
a to nasze oczy wyłapują więcej

jesteś słońcem, co w księżycu tonie
jesteś wiarą, co w miłości się spala
jesteś wszechświatem w planecie
z której nie wychodzi się
po ceglanych schodach

ale

krwio....
biegiem

Bogusław Michalec

Co musi się zdarzyć

Spotkamy się, żeby wymienić
najważniejsze informacje,
żeby dowiedzieć się,
w milczeniu oglądać wypiełgnowane
dłonie i zapamiętać gest
odrywania papierosa od ust.

Spotkamy się, żeby się dowiedzieć,
żeby porozmawiać
albo zaciąć się w milczeniu
i przez chwilę
nie tamować krwi.

Spotkamy się,
żeby wreszcie wiedzieć.
Żeby nie tamować krwi.

Marek S.Podborski

Zwieńcza

Dobrze nam tam było
gdy skradała się miłość
gdy skradała się głodna

Otacza nas pochyłość
na końcu szaleńcza
choć najpierw łagodna

SATYRA

Henryk Liszkiewicz

Fraszki

Z cyklu "Zwierzęta"

Wielbłąd

Nie garb się... - za młodu szeptano mu do ucha,
no ale on, gomoń, oczywiście nie słuchał.

Stonoga

Wrażenie miałem, że to wieczność cała,
gdy tak nogę na nogę zakładała.

Kret

Współczuć mu można tylko takiej rodzinki:
teściowa, żona i córki to kretyнки.

Skowronek

Z podejrzaną przeszłością tenże skowronek.
Podobno uciekinier, podobno z Wronek.

Szczur

Dla wielu guru
w wyścigu szczurów.

Gawron

Forma niedookreślona,
bo ni to kruk, ni to wrona.

Kangury

A tak mówiąc między nami
Stwórca puścił je z torbami

Marek S.Podborski

Kosz uła

Tańczyła śmierć w strumieniach
toczyła krew zmętnienia
myśla, że straszna
a tylko rubaszna
w kwiat paproci się zmienia

Grzegorz Zientecki

AFORYZMY

Historia to nihilistka.

Pamięć to odzyskane terytoria.

Już samo życie jest stygmatem.

Dusza bardziej niż ciało potrzebuje lustra.

Politycy. Jedyni bezkregowcy wśród ludzi.

W życiu nie ma innej nagrody niż cierpienie.

Ci, dla których wolność jest zbyt ciężka wybierają kajdany.

Srebrne i Złote Armady poszły na dno. Ocalała tylko flota Homera.

Adam Decowski

MINIFRASZKI

Wymuszona owacja

Oklaski
z łaski.

Edukacja sześciolatka

Kariera
od zera.

Przesłuchanie męża

Spytki
za zbytki

Epitafium pilota

Ofiara
Ikara.

Adam Sławomir Lamch

2026

Online przymusem;
offline luksusem.

Najlepszy przyjaciel pies

tak bardzo zazdroszczę Ci
tej pięknej duszy.
i że zawsze po burzy
podnosisz uszy.

Po wszystkim

drzewa już wycięte,
ziemia zaorana.
ludzie pochowani,
gdzie ta młodość cała?

Michał Piechutowski

trywialna alegoria ale jak nośna

a wiesz
że dopóki nie spisano
twojego życia do końca
to księga nie ma okładki

coś jeszcze można poprawić
coś dołożyć zrobić przypisy
a wstydlive fragmenty
zamaskować kleksem

warto o tym pamiętać

wiesz że dla nas
rozumnych grudek białka
świętowanie każdego
kolejnego roku
przybliżającego koniec
procesów biochemicznych
to naprawdę wielka rzecz

cieszymy się wtedy
z życliwych zakłęb
i prezentów

pozwalających zapomnieć
że pewnego dnia
przestaną nam być potrzebne
a pstre pocztówki z życzeniami
zastąpi nieduży afisz
o zupełnie już innej estetyce

czy to nie zabawne?

z punktu widzenia żywych
nieśmiertelność osiągają
wyłącznie martwi

barbarzyńcy

nie lubią książek
bo nie znaleźliby w nich
słowa usprawiedliwienia
dla swojego barbarzyństwa

dlatego kiedyś je palili
a teraz zostawiają je
pod śmietnikami
by umarły z głodu na mrozie

Leszek Kołodziejczyk

Zróźnicowanie

Nie wszystkich bawi czekanie
na umieranie,
gdy po wyroku
sprawa w toku.

Zadowolonych chyba niewielu.
Nie słyszałem o takim twardzielu.

Melancholia morza

Warszawskie wydawnictwo *Marginesy* zainicjowało w 2022 roku publikację dzieł **ERNESTA HEMINGWAYA** i szybko doczekaliśmy się rozległej panoramy pisarskiej w nowych przekładach. Książki równo stojące na półce, opublikowane w jednolitej szacie graficznej zachęcają do nowego spojrzenia na poszczególne dzieła, a także do podjęcia próby ich całościowego podsumowania. Przekornie zaczynajmy takie działanie od opisu obszernej, a zarazem ostatniej powieści tego twórcy, noszącej polski tytuł *Wyspy na Gólsztromie*, choć anglojęzyczni czytelnicy znają ją jako *Islands in the Stream*. Tytuł z nazwą własną nadał jej wieloletni tłumacz Hemingwaya Bronisław Zieliński i autor nowego tłumaczenia – Jakub Jedliński – postanowił zachować taką formę. Powieść zyskała wielu zwolenników, ale też pojawili się krytycy, którzy uznali ją za porażkę pisarską, wskazując, że ostateczną formę dzieła stworzyła w 1970 roku żona autora, Mary Welsh i wydawnictwo Charles Scribner's Sons. Nie wiemy zatem, czy pisarz wprowadziłby jakieś skróty i ostateczne szlify, trudno też powiedzieć jaką miał koncepcję zakończenia utworu. Jak wiadomo, odebrał sobie życie w makabryczny sposób. Żona początkowo utrzymywała opinię publiczną w przekonaniu, że prozaik padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku w trakcie czyszczenia broni myśliwskiej. Dzisiaj już jednak wiemy ponad wszelką wątpliwość, że drugiego lipca 1961 roku Hemingway wstał wczesnym rankiem, sięgnął po dubeltówkę marki Winchester, pochylił się do przodu na fotelu i strzelił sobie w czoło z obu łuf. Przyczynił się do tego splot różnorodnych problemów zdrowotnych, depresji i urazów fizycznych po dwóch wypadkach samolotowych w Afryce. Kilka miesięcy przed śmiercią poddano go też serii elektrowstrząsów, które trwale uszkodziły pamięć i uniemożliwiły dalsze pisanie. Jeśli dodamy do tego wieloletni alkoholizm i nieleczoną hemochromatozę (łęki i uszkodzenia organów), otrzymamy ciąg czynników, które mogły przyczynić się do podjęcia fatalnej decyzji.

Akcja powieści rozgrywa się w trzech przestrzeniach: na należącej do archipelagu Bahamów wyspie Bimini, na Kubie i na Morzu Karaibskim. Osobą spinającą narrację jest utalentowany malarz Thomas Hudson, który jest niewątpliwie *alter ego* Hemingwaya. Korzysta z uroków wyspy, ale ma też świadomość czyhających wokół niej zagrożeń: *Ocean wokół wyspy się podnosi i rekiny młoty, ostronosy, rekiny tygrysy, żarłacz krążą i polują na tych, którzy próbują uciec wpław przed widłami i bezkresną, rozwartą, ziejącą wyziewami otchłanią. Opijusy po raz ostatni pociągają z butelek i rzucają się na diabły. Ale one strącają ich widłami do czeluści albo pochłania ich wezbrane morze, gdzie rekiny wielorybie, żarłacz białe, orki i inne ogromne ryby krążą dookoła żarłaczy rozszarpujących ludzi.* (s. 27) Otchłani morska staje się

kontrapunktem dla melancholii malarza, studiującego przestrzeń dookoła i często zagłębiającego się w swoje skomplikowane wnętrze. Odsłania się ono też w słynnych, jakże dynamicznych Hemingwayowskich dialogach, prowadzonych z synami, pomocnikami, przypadkowymi gośćmi na Bimini i jej rdzennymi mieszkańcami. Hudson jest melancholikiem, starającym się przeniknąć tajemniczą tkankę rzeczywistości, ale wciąż ponosi porażki, bo świat zamyka się przed nim szczelnie, niczym wielka małża. Stale podejmuje próby stworzenia dzieła sztuki, w którym byłaby prawda o tajemnicy istnienia, ma też nadzieję, że odsłoni się ona w trakcie picia alkoholu lub palenia opium. Niestety świat trwa wciąż w swoim kształcie psychodelicznym i nawet podczas brawurowych przyspieszeń akcji (łowienie marlina przez Davida), nie zmienia się. Zwycięstwo znajduje się tutaj na tej samej linii co porażka, a jawa łagodnie przenika sen. Wszystko tonie w martwej ciszy i regularnych poszumach fal, dobijających do brzegów wysp leżących na Gólsztromie. To idealna sytuacja by rozmyślać o sztuce i anihilacji samego siebie, o drapieżnych rybach i zabawnych gejach, rozprawiających o Grekach, o Damonie i Pytiaszu, o Dawidzie i Jonatanie (s.213), to świat wymuszający na wrażliwych ludziach refleksję nad rzeczywistością, rozognioną jak jątrząca się rana. Pierwsza część powieści kończy się tragicznym telegramem, który otrzymuje Hudson. Informuje się w nim malarza, że obaj synowie, z którymi dopiero co łowił ryby i przekomarzał się na Bimini, zginęli wraz z matką we Francji w wypadku samochodowym. Czy po takim ciosie świat może pozostać dalej niewzruszonym komentarzem do życia twórcy? Malarz nie wie, co ma ze sobą począć, ale obowiązki funeralne zmuszają go do działania. Wsiada zatem na statek z nadzieją, że morze ukołszy go do snu, ale jawa wciąż jest taka sama, bolesna i szydercza. Po uspokajających częściach rozdziału pierwszego, po idylli wyspiarskiej z synami, nagle wszystko staje się matowe, bezsensowne, a kabina statku jest nową materializacją ludzkiego piekła.

Drugi duży rozdział powieści toczy się na Kubie, gdzie Hudson próbuje jakoś żyć po niewyobrażalnej życiowej tragedii. Staje się nawet rozjemcą podczas perwersyjnych rozmów z prostytutką i fundatorem drogich drinków w barze. Jego istnienie warunkuje teraz tylko melancholia morza, wzmacniana przez ogromne ilości alkoholu, pitego w różnych postaciach. Zdumiewającym kontrapunktem stają się tutaj autobiograficzne motywy myśliwskie, a spośród nich na plan pierwszy wysuwają się przybliżenia ornitologiczne: *Czasem pierwszym dźwiękiem był gwizd zimorodka leżącego nad wodą, tak spokojną, że ptak odbijał się w jej taflę. Innym razem pisk wiewiórki na jednym z drzew przed domem, gwałtownie*

poruszającej ogonem przy każdym piśnięciu. Często siewka nawołująca ze wzgórza. (s. 336) Hemingway zasłynął jako myśliwy, chociaż dzisiaj jego wyczyny łowieckie budzą zgrozę i stają się przyczynkiem do zrozumienia jego licznych patologii. Trzeba było mieć specyficzną ukształtowaną psychikę, żeby chwalić się bezdusznym zabijaniem zwierząt, jak np. gołębi grzywaczy: *Strzelaliśmy do tych dużych i ładnych ptaków o pięknych, mieniących się fioletowych piórkach na szyi, szybko latających i z pierwszym zmrokiem obśiadających olbrzymie drzewo laurowe rosnące tuż za białym murem więzienia. Czasem nadlatującego prędko i wysoko z wiatrem ptaka zabijałem wprost nad sobą, a wtedy spadał za mury, skąd rozlegały się radosne krzyki i piski więźniarek, które rzucały się na zdobycz, a potem, gdy rozpędzał je sikhijski strażnik, darty się w niebogłosy.* (s. 337–338) Hemingway wyodrębnia gatunki ptaków, które wymagają sporej wiedzy ornitologicznej, takie jak różenice, cyraneczki, świstuny, ale zawsze czyni to w kontekście śmiertelnych łowów (s. 340) Choć część druga powieści może wydawać się nudnawa, pamiętać musimy, że główny bohater przeżywa skrywaną rozpacz po stracie synów i byłej żony. Jego długie rozmowy, rozwlekłe dialogi z przypadkowymi ludźmi są rodzajem terapii, zakłamującej to, co się stało. W rzeczywistości Hemingway miał trzech synów z dwóch pierwszych małżeństw – Jacka, Patricka i Gregory'ego – ale żaden z nich nie zginął tragicznie, dożywając sędziwego wieku. *Wyspy na Gólsztromie* są świadectwem lęków ojca, związanych z dziećmi, dodatkowo podsycanych grozą jego rodzinnego ciągu samobójstw.

Trzeci rozdział utworu Hemingwaya rozgrywa się *Na morzu*, gdzie Thomas Hudson wraz z przyjaciółmi śledzi uciekające załogi niemieckich U-Bootów. Akcja toczy się na wodach okalających Kubę, wzdłuż dzikiego archipelagu *Jardines del Rey*, gdzie bohater przeistacza się w człowieka czynu, tak samo bezwzględne dla ludzi, jak autor był bezlitosny dla zwierząt. Widzimy, że żaloba po zmarłych synach podążyła w kierunku zemsty nad okrutnym światem. Malarz zrezygnował z dotychczasowego, leniwego stylu życia i zajął się patrolowaniem wód na zlecenie amerykańskiej armii. Pchnęła go do tego zapewne kolejna tragedia, gdy jego trzeci syn – Tom – zginął jako pilot podczas wojny. Tak niezwykle obowiązkowość i marynarska fachowość stają do konfrontacji z żalonymi myślami i rozpaczą nie do opisaną. Bohater nie ma litości dla wrogów, bo przypominają mu oni o jego tragediach i na nowo rozpalają wyobraźnię. Tak jak bezwolnie zabijał zwierzęta i piękne ptaki, teraz bezwzględnie ściga na morzu marynarzy ocalałych z zatopionego niemieckiego okrętu podwodnego. Hemingway wspaniale namalował namorzynowy brzeg „wyspy jak wulkan gorącej”, gdzie jego żaloba, składająca się z wiernych przyjaciół, kubańskich marynarzy i ekscentrycznych awanturników, tropi bezlitosnych Niemców, zabijających kubańskich rybaków na plażach. W takiej sytuacji ludzie czynu dążą do zemsty i

dokończenie na str. 32

Melancholia...

dokończenie ze str. 31

tak też jest w przypadku załogi Hudsona. Wielokrotnie podkreślano, że trzecia część powieści została napisana surowym, minimalistycznym stylem, z którego sływał autor, a symboliczne zakończenie spina trzy części w logiczną całość. Podczas wymiany ognia pośród mangrowców Hudson zostaje śmiertelnie ranny i położony na pokładzie łodzi, ostatni raz patrzy z

melancholią na morze. Teraz już czuje się pogodzony ze światem i pojednany ze swoim losem – jego życie dobiega końca i może spojrzeć do siebie jak na ciąg przystających do siebie części. Żył pełnią życia na Bimini i na Kubie, we Francji, gdzie wiązał się z pięknymi kobietami i patrzył szeroko otwartymi oczyma na świat, często odzwierciedlając go na swoich obrazach. Teraz powoli rzeczywistość gasła w jego żrenicach, ale jeszcze raz: *Spojrzał w górę i zobaczył niebo, a potem popatrzył na rozległą lagunę (...) i odrobinę zmienił pozycję, żeby*

złagodzić ból. (s. 549) Już nie będzie malował, nie będzie pił rumu, obraz świata ustali się w ostatecznej formie, a końcowy triumf jego załogi powoli zacznie popadać w zapomnienie. Podążając od skrajnego sybarytyzmu do wernego wykonywania obowiązków marynarskich i wojennych, Hudson zwycięża w jeszcze jednym pojedynku – tym razem z ludzkim złem i z anihilującą pragnienia melancholią morza. ♦

Ernest Hemingway, *Wyspy na Gólsztromie*, przeł. Jakub Jedliński, Marginesy, Warszawa 2024, s. 565

Stanisław Chyczyński

Paradiso – rajskość poza Rajem

Czy dzisiaj stara idea chrześcijańskiego Raju nadal intryguje nowoczesnych ludzi? Śmiem wątpić. Wydaje się, że od epoki renesansu dosłowne, tradycyjne wyobrażenie Raju stałe traciło na popularności, aż w naszych czasach utraciło ją zupełnie. Wprawdzie psycholodzy i socjolodzy utrzymują, że we współczesnym człowieku tęsknota za trwałym azylem, doskonałością i wiecznym szczęściem pozostała niezmienną, ale nie wynika ona z głębokiej wiary w dogmaty katolickie. Idea Raju, jako tęsknota za światem wolnym od zła, chorób, cierpienia i konfliktów, jest głęboko wpisana w naturę ludzką, pozostaje żywa jak tysiące lat temu, ale uległa istotnej transformacji. To znaczy: w wyniku galopującej laicyzacji życia, przybrała nowe, doczesne, przyziemne formy, związane z przemianą ludzkiej mentalności i postępem technologicznym (trzy przykłady: konsumpcjonizm, transhumanizm, plany kolonizacji Marsa). W takim kontekście kulturowym **WOJCIECH WENCEL** ogłasza nową książkę poetycką pod wymownym tytułem *Paradiso*.

Moim zdaniem autora *Epigonii* nie trzeba przedstawiać jakoś specjalnie, gdyż – jak twierdził śp. redaktor Jerzy Szatkowski – tenże zdobył już Himalaje literatury i jest dobrze znany w środowisku literatów, pisarzy i pisarzyków. Zatem sympatycy jego poezji musieli czekać tylko dwa lata na kolejny zbiór nowych wierszy. Z czwartej strony okładki, a więc od samego autora, dowiadujemy się, że książka stanowi swoistą „pielgrzymkę do źródła wielkiej sztuki chrześcijańskiej, a jednocześnie mały traktat teologiczny i zapis osobistej historii zbawienia”. Mało tego, w zamyśle autorskim, ona ma być poematem, zaś w aspekcie deklaracyjnym to – *opus vitae*. A skoro tak, to poeta z Matarni i jego wydawca zadbał o godną oprawę graficzną dzieła: twarde okładki, kredowy papier, składki szyte nicią, dziesiątki kolorowych reprodukcji. Wszystkie one przedstawiają konkretne źródła ideowych inspiracji, czyli arcydzieła włoskich mistrzów, takich jak: Botticelli, Duccio, Fra Angelico, della Francesca, Lotto, Masaccio, Sassetta i kilku innych, których nazwisk nie zapamiętałem, niestety. (Wiek robi swoje).

Wobec tego, czy te poezje Wencła są ekfrazami? Uważam, że dokładnymi opi-

sami tych wspaniałych malowideł (z przełomu późnego gotyku i protorenesansu) celowo nie są, raczej luźnymi komentarzami, aczkolwiek nierzadko punktuja ważne detale kompozycyjne czy podają mało znane ciekawostki. Autor, z właściwym dla się mistrzostwem oratorskim i poczuciem humoru, odkurza starogreckie mity, toposy biblijne, legendy hagiograficzne i anegdoty ze świata sztuki. Jak zwykle jego opisy modelowych sytuacji czy popisowe interpretacje wybranych artefaktów zawierają sporo zapożyczeń i aluzji do kultury ogólnej lub literatury. A oto garść przykładów: „nieznanemu Bogu” (*Dzieje Apostolskie*), „jesień średniowiecza” (Huizinga), „reszta jest milczeniem” (Szekspir), „podziemne motyle” (Wencel), „niebo złote otworzę” (Baczyński), „jak może nie zachwycać jeżeli zachwyca” (Gombrowicz), „o obrotach ciał niebieskich” (Kopernik). Wartym podkreślenia jest również często sentencjonalny rys narracji Wencła, jako że niemal w każdym jego wierszu spotykamy jakieś okrągłe zdania (np.: „szukając piękna w sztuce jesteśmy bezpieczni”, s. 8; „Przeszliśmy długą drogę od Słowa do słowa”, s. 21; „każdy moment jest dobry na szczerą pokutę”, s. 50; „Sztukę należy tworzyć jak tworzy się siebie”, s. 81; „Życie jest umieraniem w ciele i w kulturze”, s. 94).

Składinąd wiersze te, niekiedy modlitwy i pobożne westchnienia, są twórczym pokłosiem wielu zagranicznych wypraw poety do ważnych dla niego miejsc (Rzym, Padwa, Florencja, Ravenna, Mediolan, Jerozolima, Nazaret, Betlejem, Wilno, Nowy Jork etc.). W których to miastach zachwycał się świątyniami oraz wieloma, zaprezentowanymi w książce, dziełami sztuki (ze słynnych galerii). Ryzykując niemały skrót myślowy, można by powiedzieć, że dla autora *Mnemosyne* światowa sztuka sakralna (tu akurat średniowieczna) jest namiastką Raju, jest możliwością odczucia rajskości poza niegdyś utraconym Edenem. Może być źródłem uniesień duchowych, metafizycznych, ba, prawie że mistycznych! Wszak średniowieczni mistrzowie tworzyli „ad maiorem Dei gloriam” – ich dzieła kierują nasze myśli ku Niebu, uszlachetniają, uduchawiają nas. „Przybывajcie na ucztę współcześni poeci / zostawcie swoje cienie w szafie jak ubrania (...) będziemy razem kąpać się w złocie arcydzieł / będziemy

pisać wiersze unoszeni światłem / tu jest wszystko to czego szukacie gdzie indziej” (s. 79) – apeluje poeta do swoich kolegów postmodernistów, którym często „mrok żre duszę” (s. 92), a oni „chcą śmiać się bez przerwy” (s. 8). Okazuje się, że owa duchowa, estetyczna ucztą może być *antidotum* na słynny ból egzystencjalny, na „czarną melancholię” (s. 29), na zniewalające poczucie absurdałności życia.

Gdańszczanin przyzwyczaił nas do stałej obecności w jego wierszach różnych symboli chrześcijańskich. Nie inaczej jest ze zbiorem *Paradiso*, w którym posilkuje się takimi konwencjonalnymi znakami jak: biała lilia, gałązka oliwna, płomień czy święty ogień (*Ignis Sanctus*), „czerwień jak krew męczeńska” (s. 81), dom Słowa, szczygieł, wąż. Wymyśla też własne, np. „kurze czasy” (s. 83), „złudna tęcza” (s. 8), „czarny kwadrat” (s. 92) – jako sedno sztuki nowoczesnej (*de facto* aluzja do minimalizmu malarskiego Yvesa Kleina!). Niewątpliwie kluczowym, najbardziej nośnym symbolem jest tutaj ŚWIATŁO, czasem „światłość wiekuista” (np. s. 53, 71), i to zarówno w aspekcie religijnym, jak i w artystycznym (rola światła w sztukach plastycznych). Wymowna jest już sama częstotliwość pojawiania się «światła» w poszczególnych utworach (por. np. strony: 10, 11, 13, 14, 21, 32, 39, 49, 65, 79, 81, 82, 84, 92, 93, 109). Mistrzem Światła, a zarazem Boskim Humanistą, nazywa wprost naszego Stwórcę (*vide* s. 93). Dostatek treści, bogactwo znaczeń, rezerwuwar sensów. Wystarczy?...

Podsumowując trzeba zaznaczyć na czerwono, że sztuka poetycka twórcy *Paradiso* jest przykładem odważnej i konsekwentnej kontrkulturowości, zarówno pod względem czysto formalnym (utwory klasycyzujące, uzbrojone w asonanse i cezury), jak i treściowym. Brzmi to wręcz paradoksalnie? Gdzież ta kontrkulturowość? Poeta, przypominając stare parabole chrześcijańskie, motywy niemal jasełkowe, klechdy o świętych mężach i dziewicach, oświadcza wprost: „ja wierzę w to wszystko” (s. 107). Nie zapominajmy, że wykładnikiem nowej, masowej, dominującej kultury jest teraz banalizm (artystyczny), egocentryzm, indyferentyzm (religijny), relatywizm (moralny). Krótko mówiąc, całkowite zaprzeczenie ideałów, dla których Wencel poświęcił siebie. Ale jego Wódz zapewnia: „Jam zwyciężył świat!”. Wiara stanowi najwyższy probierz optymizmu. *Et bene!* ♦

Wojciech Wencel *Paradiso*, ARCANA, Kraków 2026, ss. 119

Danuta Künstler-Langner**Granit i mech**

Mój dom to widok ze skały,
wnętrze jaskini, wieża z betonu i szkła.
Rysunki porostów tworzą na granicie
mapy,
mchy otulają nasiona,
piaski pozbywają się słów.
Bogowie erozji nie planują zmian.

Znawcy mchów poruszają się po czasie
i opowiadają o zielonych kontynentach.
Zmiany nadchodzą szybko,
wypiętrzają się miasta,
suche źródła poznają starość,
ludzie przestają śnić w swoich
wysokich gniazdach.

Ktoś zapisze na granicie
datę kolejnego początku,
nowy podział radości i cierpienia,
definicję życia i przetrwania,
gdy w sklepach zabraknie szczęścia.

Danuta Künstler-Langner**Grzebień powietrza**

Trzeba chesać dźwięki ziemi, wody i ognia,
oddzielać śmiech zwycięzców od pokonanych,
dzielić krzyk na małe szepty
niesłyszalne z daleka,
potem wpłatać linie początków
do nici starych wrzecion,
ustalać wzór i długość nowego życia.

Każdy świt czyta twoje słowa,
obietnice, deklaracje, prośby.
Unoszą się w powietrzu nad miastami,
piaskami, hałdami kamieni i żwiru,
salinami rodzącymi słone światła.
Podziel je według zasad przydatności,
pierwszej pomocy i transfuzji
ratującej życie.

Eduardo Chillida wbija grzebień wiatru
w skały zatoki San Sebastian.
Musi zatrzymać umarłe głosy
z dała od miasta,
zamienić strzępy mgły w nici
białego światła,
zapisać muzykę oceanu
dla urodzonych w hałasie miasta.

Danuta Künstler-Langner**Za horyzontem zdarzeń**

Miedzy linami światła wspomnienia
zamieniane na głosy, twarze ludzi
wpatrzony w obce horyzonty.
Patrzę stąd i szukam w oknach
po drugiej stronie mroku
podobnego świata.
Za horyzontem zdarzeń
królują zmiany,
ziemie niczyje celebrują rozległość,
nieskończoność opowiada o sobie
w języku szybszym od światła.
Jak mogę być tutaj na zawsze,
pośród drzew oliwnych,
kamiennych domów
silniejszych od burzy,
skoro znam tylko
życie mierzone zegarem,
a mój cień jest lżejszy od liścia.

Michał Siedlecki**Poezja metafizyczna**

DANUTA KÜNSTLER-LANGNER
(prof. dr hab., eseistka, badaczka literatury staropolskiej związana z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu) jest poetką na wskroś metafizyczną. Potwierdza to jej kolejny, już siódmy, tom liryków zatytułowany *Selfie z Fortuną* (Katowice 2025). Został opublikowany w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”. Liczy ponad 60 stron. Składa się na niego 40 wierszy. Przyjrzyjmy się wybranym z nich.

W obrębie problematyki tekstów poetyckich Künstler-Langner interesować mnie przede wszystkim będzie: obrazowanie mityczno-symboliczne oraz to, co aprioryczne; abstrakcyjne; transcendentne; oniryczne; niedostępne zwykłemu ludzkiemu doświadczeniu; zagadkowe; pozazmysłowe; obce czy związane z pytaniem o istnienie Boga. Widać to już w pierwszym liryku poetki pt. *Zmiana*, w treści którego przemianom cywilizacyjnym spod znaku współczesnych technologii towarzyszy obraz Afrodyty z Knidos oraz konterfekt natury stojącej niezmiennie na straży sprawiedliwości.

W wierszu *Punkt widzenia* pojawia się między innymi: tajemniczy „twórca geometrii,/ ktoś o nieprzeciętnym wzroku/ autor ostrego obrazu”. Pozostaje on tutaj metafizyczną emanacją boskości. Enigmatyczny tekst *Podobieństwa* uzmysławia nam z kolei lirycznie, że prócz świata tzw. zbieżności istnieją też takie uniwersa, w których nie odnajdziemy niczego podwójnego, poczwórnego lub powtarzalnego, żadnych tożsamyh wspomnień „gór o kształcie swojej góry marzeń/ albo widoków na uśpioną rafę”. W onirycznym liryku pt. *Pani Vanitas i maska Le Corbusiera*, tytułowa postać wiersza podziwia miasto zastępcze spoza naszej galaktyki: „Jego architektura to koronka modułów,/ złotej geometrii, krzemowych kokonów/ i kul z oknami na Gwiazdozbiór Łabędzia”. Po raz kolejny mamy tu do czynienia z wirtuozerią słowa poetki. Potwierdza to zresztą kolejny tekst artystki *Krzesto na brzegu*. Jakże plastyczne są już jego pierwsze wersy: „Na brzegu oceanu ktoś zostawił krzesło./ (...) Wiatr nim zabawnie kołysze,/ pilnuje je mewa”. To twórczość najwyższej próby. Ontologiczny wgląd w rzeczywistość. Polecam ją wszystkim. ♦

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018-2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.
Cena wraz z przesyłką: 35 zł
Nr konta: 03124011831111001002291025

Motyw kropli czasu i światła w poezji Karoliny Ludwin

POETKA KAROLINA LUDWIN urodziła się w Gorlicach w 1994 r., a zatem należy do pokolenia Y, tj. tzw. millenialsów. Mieszka w miejscowości Ropica Polska. Z powodu Dziecięcego Porażenia Mózgowego porusza się na wózku inwalidzkim. W marcu 2021 r. ukazał się jej debiutancki zbiór poetycki pt. *Barwy poezji*, a w styczniu 2024 r. tomik poezji o tematyce religijnej i metafizycznej *Gdy spoglądam w niebo*. Obecnie, w 2026 r., opublikowała swój trzeci tom poezji pt. *Światło w kropli chwili*.

W tym miejscu, nawiązując do tego tytułu, trzeba nadmienić, że życie ludzkie składa się z bardzo krótkich, ale odczuwalnych i nieodwracalnych momentów. „Kropla czasu”, czy też, jak w tym przypadku, „kropla chwili”, to tym samym ekspresywna metafora podejmująca temat ulotności pojedynczej chwili, przepowiadająca treść zbiorku wierszy utalentowanej poetki, treść będącą skutkiem jej skondensowanego na detalach zewnętrznych i wewnętrznych doświadczenia.

W związku z tym przenośnia zawarta w tym tytule i ten motyw, znany od dawna w literaturze, stanowią zminiaturyzowaną odmianę odnoszącą się do szerokiego toposu przemijania. Już w baroku, epoce zafascynowanej nietrwałością świata, kroplę czasu zaczęto przedstawiać w powiązaniu z działaniem klepsydry, względnie jako ekwiwalent uderzeń zegara. Przyczyną tego był rozwój techniki, gdyż wówczas w Europie pojawiła się sztuka wyrobu zegarków kieszonkowych. Od tego momentu kategoria czasu stała się bardziej namacalna. Ruch wskazówek zegarków był bowiem nieubłagany, tym bardziej, że w tych czasach wprowadzono trzecią wskazówkę odmierzającą sekundy.

Wobec tego ludność bardziej świadomie przeżywała kruchość i ulotność czasu, albowiem posiadanie zegara umieszczonego na ścianie w domu lub też zegarka w kieszeni czy na ręce skłaniało do głębszej refleksji aniżeli widok wielkich mechanizmów zamontowanych

na wieżach kościelnych. W dzisiejszym świecie „pędzący” czas jest jeszcze bardziej odczuwalny i połączony z bólem istnienia. Jest to bowiem doba nie tylko tradycyjnych zegarów, ale też inteligentnych zegarków (smartwatchów), telefonów komórkowych (smartfonów) i mediów (nie tylko radia, prasy i telewizji, ale też internetu). Codziennie bombardowani jesteśmy więc bieżącymi wydarzeniami potęgującymi uczucie przemijania.

Motyw kropli czasu lub kropli chwili charakteryzuje się co najmniej trzema atrybutami. Są to: po pierwsze nieuchronność, bo czas, który „kapie”, przypomina, jak sekundnik zegarka, o stałym, monotonnym i niezatrzymanym jego odmierzaniu i ciągłym zbliżaniu się do kresu życia; po drugie koncentracja (skupienie), bo w małej kropli zawiera się całe ludzkie doświadczenie, w szczególności: chwila szczęścia, moment olśnienia, moment cierpienia i tragedii; po trzecie ulotność, bowiem podobnie jak kropla wody, która wsiąka w ziemię lub wysycha, wyparowuje, chwila aktualna natychmiast staje się historią.

Autorka z Ropicy Polskiej nie poprzestała jednak na tej mikroskopijnej „kropli chwili”. Zestawiła bowiem w tytule swego dzieła powyższy motyw ze światłem. Zestawienie czegoś ogromnego i niematerialnego (światło) z czymś niewielkim i ulotnym (kroplą czasu) powoduje polaryzację i buduje zaskakujący kontrast. „Kropla chwili” to metafora zatrzymanego czasu (jak gdyby zamrożona kropelka ludzkiego życia w wodzie). Światło zaś sugeruje: olśnienie, pamięć, nadzieję i prawdę.

Poetka w tej kompozycji wyrazów w tytule swojej książki wskazuje na aspekty egzystencjalne swoich utworów i, w istocie, jeśli podsumujemy zawarte w tomie wiersze, ostatecznie przemawia do czytelnika poniekąd słowami łacińskiej sentencji: *Fiat lux*, a więc „Niech się stanie światło”. Każdy z jej wierszy to jak gdyby obraz zatrzymany na ekranie podczas wyświetlania

filmu, czyli tzw. „stop-klatka”, pozwalający na chwilę czytelnikowi odetchnąć i docenić w swym życiu moment bieżący.

Kropla to coś małego, delikatnego, nietrwałego, zaś światłość to naga prawda o człowieku i jego doczesnej egzystencji, gdzie chwile niezapomniane splatają się z momentami czy okresami, o których chciałoby się jak najszybciej zapomnieć.

Poezja Karoliny Ludwin jest skoncentrowana na detalach, drobiazgach, unika abstrakcyjnych uogólnień. Jej zbiorek zawiera 80 utworów i są to wiersze białe.

W ujęciu poetki z Ropicy światłem przenikającym każdego człowieka powinno być życie w zgodzie z nadrzędnymi wartościami, gdyż tylko wówczas egzystencja prowadzi nas do szczęścia i napętnia akumulatory życiowe. Nadaje sens życiu i odwagę do realizacji idei. Jej wiersz mówiący o tym nosi znamieny tytuł: *Cnotliwa radość*. Odnosząc się do tego tytułu, brzmi on następująco: „Jest światłem w uśmiechu, / który / otwiera drzwi / do szczęścia. / Jak gwiazda / wędruje po niebie, / rozświetla noc. / Z czasem przybiera / odwagę / pierwszego kroku. / Oczyszcza duszę, / dodaje jej / lekkości / i spokoju. / Pobudza do życia”.

Pani Karolina w innym wierszu pt. *Kolor myśli* udowadnia, że jest bardzo wrażliwa na kolory i dopowiada, że życie ludzkie nie tylko składa się z chwil radości i szczęścia, ale występują także chwile załamania czy smutku. Więc tak obrazowo to przedstawia, charakteryzując swój mikrokosmos: „Kiedy / smutek mnie ogarnia, / przenika we mnie fiolet z granatem”.

Bardzo ciekawe i odkrywcze są skojarzenia dotyczące innych kolorów: tęczyowy wiąże z wyobraźnią, gdyż ma ona wiele barw, które się kumulują. Gdy autorka jest w ekstazie, to koloryt myśli wiąże się z czerwienią. Gdy myśli o kolorze żółtym, to otwiera się subtelność. Gdy pojawia się nadzieja, to staje się zielenią. Niebieski maluje serce pejzażem nieba. Pomarańczowy nadaje witalność. Indygo stroi szlachetność.

Poetka w ten sposób afirmuje piękno tego świata i wartość życia. Przykładem jest tu także wiersz *Kim jestem*. Oto jego treść, korespondująca z tytułem: „Sama / nie wiem – / może duszą / albo kwiatem, który złoci się / na łące, / a może śpiewakiem / w operze / o niebywałym głosie / lub aktorem / grającym wiele ról. / Jedno wiem na pewno – kocham ten piękny / świat”.

Utwierdza nas ona ponadto w przekonaniu, że źródłem szczęścia jest poświęcenie się jakiejś idei. Konstatuje zatem w utworze *Zawsze warto pragnąć*: „Bo / wtedy serce / mocniej bije ciepłem. / Przepelnia je / tęsknota za celem – / źródłem sensu / daru istnienia / na ziemi, która obejmuje / nas / i cały / świat”.

W wierszu *Moje pisanie* w ślad za tym autorka odkrywa czytelnikowi, że jej ideą i sensem życia jest tworzenie poezji, gdyż to pozwala uwolnić emocje jej wrażliwego serca, a ponadto realizować podjęte zamierzenia: „Wena / to dom / mojej żywej duszy / nadaje sens życiu / Biała



NOCLEGI ŻNIN
Stara KAMIEDICA

5
ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

kartka, niczym / czerwone serce, / pozwala / uwolnić emocje, które / drzemia we wnętrzu / i malują świat / uczuciami. / Tworzą tęcze / wyznaczające tory / do działania”.

Kiedy natomiast nadchodzą okresy bezproduktywne w jej twórczości, to odbija się to negatywnie na samopoczuciu autorki. Jej dusza „jest rozdarta, / nie ma / światła, które pomaga odnaleźć sens / bytu. / Choć słowa / są „wiotkie”, / wnoszą / wiele / do jaźni” (wiersz pt. *Cisza I*).

Emanuje prawdą i optymizmem sformułowanie autorki w utworze *Małe, a wielkie*, mówiące o tym, że „w prostocie / człowiek odnajduje największe / szczęście – / ciche, / a jednak niezwykle”. Trafnie w części wstępnej utworu konstatuje, co może pretendować do kanonu prawideł uniwersalnych: „Jeśli człowiek / potrafi / odnaleźć w drobnych / rzeczach wartość, / jego serce / staje się potęgą”.

Poezja to sedno życia autorki spod Gorlic. Jednemu z utworów nadała nawet tytuł: *Przyjaciółka – poezja*. Tak to charakteryzuje: „Gdy wkraczam do tego świata, / pragnę czuć aromat sztuki / i znajduję go w sercu. / Miuję go, bo stanowi odskocznice / od napotykanym problemów. / Otoczenie staje się harmonią /, łagodzącą pokonywanie barier”.

Już te kilka powyższych przykładów twórczości poetki stanowi dowód na to, że jest osobą bardzo wrażliwą, a jej poezja jest udaną próbą poszukiwania swojej tożsamości, określenia relacji z sobą i całym otaczającym nas światem. Oprócz wycucia smaku autorkę z Ropicy cechuje zdolność przekazania w skondensowanej formie samej siebie, a więc osoby subtelnej i posiadającej dużą wyobraźnię.

Co więcej, autorka zdaje sobie sprawę z tego daru niebios dla niej, o czym dobitnie przekonuje wiersz *Nie iść drogą*. Podaje w nim, że trzeba w życiu iść polaną bez wyraźnej ścieżki, gdyż ona, zawężając pole bytu fizycznego, „daje / wodze wyobraźni, która / zaprowadzi cię wszędzie / i ślad zostawi / pośród wielu / artystycznych doznań / na rozgałęzionej / sztuce”.

Mam nadzieję, że poetka ta, dysponując taką oryginalną wyobraźnią, będzie się nadal w swojej poezji prawidłowo rozwijała.

Jej wyobraźnia bowiem, wynikająca z interesujących wierszy zawartych w tym tomie, a w tym z ostatnio powołanego wiersza *Nie iść drogą*, przypomina mi to, co m.in. zawarte zostało w aforyzmach Alberta Einsteina. Warto jako podsumowanie tej recenzji przytoczyć zatem jego dwa cytaty: „Czysto logiczne rozumowanie nie da nam żadnej wiedzy o realnym świecie” oraz: „Logika zaprowadzi cię z punktu A do punktu B, wyobraźnia zaprowadzi cię wszędzie”.

Tym samym ten genialny naukowiec uznał wyższość na tym polu wyobraźni i jej pierwszeństwo. Poznanie świata następuje zatem przede wszystkim dzięki mocy wyobraźni. ♦

Karolina Ludwin, *Światło w kropli chwili*, Wydawnictwo KryWaj, Koszalin 2026, wstęp: Izabela Zubko i Ewelina Górowska, ss. 100.

Roman Sidorkiewicz

Analfabet bydgoski – ciekawa pozycja literacka o Bydgoszczy

NORBERT KRAWCZYK, dziennikarz głównie radiowy, postać znana i rozpoznawalna w Bydgoszczy. Stworzył bardzo ciekawy „Analfabet bydgoski” traktujący o znanych jemu osobach ze świata kultury, polityki, sportu. Aby tego czynu dokonać potrzebne były wieloletnie kontakty zawodowe i towarzyskie, trzeba być człowiekiem towarzyskim, posiadać dobrą pamięć i nade wszystko dysponować ciętym piórem. On wszystkie te cechy posiadał choć z tym ciętym piórem we wspomnianym dziele niezbyt sobie poradził co będzie dalej powiedziane.

Onego czasu, za młodu, zachciało się mu mieć konkretny fach w ręku i wstąpił po nauki w technikum mechaniczno – elektrycznym. Po zdaniu matury pracował w wyuczonym zawodzie ale ciągnęło go do dziennikarstwa. To zupełnie inny świat niż w fabrycznych halach czy biurach. Z natury jest bowiem humanistą. Dobrze sobie zapamiętał motto nauczyciela rysunku technicznego skierowanego do niego „z ciebie taki będzie technik elektryk jak z marchwi gwoździ”. No i sprawdziło się. Kilka lat przepracował w różnych przedsiębiorstwach głównie w zaopatrzeniu i kooperacji czyli mało fachowych działach. Nie dawało mu to satysfakcji. Postanowił studiować dziennikarstwo w trybie zaocznym na uniwersytecie warszawskim. Przełożeni trochę dziwili się, trochę sarkali ale Norbert był nieugięty. Po kilku latach studiów dał sobie spokój z elektryką i rzucił się w wir dziennikarstwa.

Zaczął pracę w prasie zakładowej a następnie w „Ilustrowanym Kurierze Polskim” należącym do Stronnictwa Demokratycznego. Przypomnę, jako że dziś mało kto pamięta co to była ta „prasa zakładowa”. Każdy większy zakład, oczywiście państwowy, posiadał takowy organ, który przekazywał załodze bieżące sprawy ją interesujące. Prasa ta dobrze spełniała swą rolę mimo, że była kontrolowana przez czynniki polityczne. Jednoczyła ona pracowników, spełniała pożytecznie społeczną rolę. Dziś ani śladu po prasie zakładowej; kapitalizm zmiotł ją z areny niczym huragan Katrina w Nowym Orleanie. Tak samo stało się z gazetą IKP.

Krawczyk nie narzekał na tego rodzaju dziennikarstwo ale los rzucił go do radia. Tam pracował aż do emerytury z chwilowymi przerwami, organizując m. in. prywatną telewizję TV EX, która jednak zbyt długo nie pożyła.

Skąd ten „analfabet”? Po prostu fantazja odpowiedziała mu żeby postacie przywoływać w odwrotnej kolejności w stosunku do alfabetu. To bardzo ciekawy pomysł. A przywołanych postaci, opisów powojennej Bydgoszczy, kilkunastu instytucji jest co niemiara. To kopalnia wiedzy o jego rodzinnym mieście.

Autor doskonale przywołuje dawno już nie istniejącą Bydgoszcz. A więc – tramwaje po Starym Mieście, kina, które znik-

nęły wraz z ekspansją multipleksów, hokey, kluby młodzieżowe, zakopany Kanał Bydgoski w okolicach ulicy Świętej Trójcy, eleganckie bale w hotelowej restauracji „Orbisu” (obecnie hotel „Pod Orłem”). Interesująco opisuje swoje gniazdo zawodowe – rozgłoszenie Polskiego Radia w Bydgoszczy (obecnie Radio Pomorze i Kujaw). Nie omieszka przypomnieć stan wojenny (potępił czystkę wśród dziennikarzy radiowych) i PZPR, do której należał i był nawet delegatem na ostatnie jej zjazdy. Dobrze to o nim świadczy, że nie wypiera się ze swego życiorysu co niektórzy na potęgę czynią.

Krawczyk umieścił ponad sto nazwisk osób zasługujących, według niego, na swego rodzaju upamiętnienie. Podaje czytelnikowi zwięzłe informacje o danych osobach. Możemy wiele się dowiedzieć o żyjących a także zmarłych Bydgoszczanach. Niestety, autor mocno przesolił w wychwalaniu postaci. Istna hagiografia. Zabrakło trochę „pieprzyku”.

Czytając <analfabet> czytelnik otrzymuje informację, że wszystkie opisane osoby są doskonałe niczym święty Franciszek z Asyżu. Dam raptem kilka przykładów: *zawsze uśmiechnięty, przykładne małżeństwo, pryncypialny uczciwy człowiek, lubiany za poczucie humoru, sympatyczna koleżanka nie zadzierała nosa, sprawny menedżer, zrównoważony, inteligentny, dowcipny itd.* itp. Tego rodzaju określeń jest multum. Banał goni banał.

Panie Norbercie! Nie ma co się bać i unikać jak ognia krytycznych odniesień. Rzeczowa krytyka tylko uwiarygadnia lekturę i podnosi jej atrakcyjność. A że ktoś będzie obrażony? Trudno, niech idzie nawet do sądu!

Mimo to zalecam tą lekturę, choć należy czytać ją z przymrużeniem oka. ♦

Norbert Krawczyk. *Analfabet bydgoski*. Dom Wydawniczy Margrafen Bydgoszcz 2025, ss. 118

„Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczcie Polską za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informacje, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Nr konta Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
03124011831111001002291025

Marek Bocian ● Sławomir Bączkowski ● Grzegorz Borowiec ● Urszula Borowska ● Sławomir Bączkowski
Stanisław Chyczyński ● Anna Czyrska ● Adam Decowski ● Stanisław Dłuski ● Dariusz Filingier
Krzysztof Gołębiewski ● Małgorzata Grajewska ● Natalia Grudzień ● Waldemar Jagliński ● Jacek Jaszczyk
Magdalena Kalinowska ● Ewa Kłobuch ● Joanna Hetman Krajewska ● Sławomir Krzyśka ● Wiesław Kubiak
Paweł Kuszczynski ● Barbara Kwiatanowska ● Sandra Kocha ● Leszek Kołodziejczyk ● Maria Kosaciec
Małgorzata Kotłowska ● Katarzyna Kowalewska ● Adam Sławomir Lamch ● Danuta Künstler-Langner
Dariusz Tomasz Lebioda ● Henryk Liszkiewicz ● Krzysztof Lutowski ● Bernard Łach ● Dariusz Malach
Adam Michalak ● Bogusław Michalec ● Angelika Szelągowska-Mironiuk ● Małgorzata Mittelstadt
Renata Mosionek ● Anita Nowak ● Stefan Pastuszewski ● Grzegorz Pelczyński ● Michał Piechutowski
Kamil K. Pilichiewicz ● Marek S. Podborski ● Andrzej Stanisław Sepioł ● Roman Sidorkiewicz
Michał Siedlecki ● Jan Stanisław Smalewski ● Hanna Strychalska ● Piotr Szczepański ● Wojciech Trzciniński
Iwona Orzechowska-Wiater ● Grzegorz Zientecki ● Przemysław Znojek



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury*



*Dofinansowano
przez Urząd Miasta Bydgoszczy*



FIRMA RODZINNA
PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE
NAJLEPSZA JAKOŚĆ
PRZYSTĘPNA CENA
DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

GRATKA
księgarnia taniej książki

ul. Jezuicka 24 - Bydgoszcz

e-mail: księgarnia_gratka@poczta.onet.pl

tel. (52) 322 62 60

➤ półka ze współczesną prozą
➤ wydawnictwa regionalne



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
Paweł Skutecki – redaktor
Roman Sidorkiewicz – redaktor
Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
Sławomir Krzyśka – redaktor
Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
85-010 Bydgoszcz, tel. 797 666 895

✉ e-mail: akant24@wp.pl
www.akant.org

Konto:

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
03 1240 1183 1111 0010 0229 1025

Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak – przewodniczący,
Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

Fundatorzy Akantu

Marek Bocian	Wojciech Karpiński	Danuta Anna Rychlicka
Andrzej Bogucki	Paweł Kuszczynski	Roman Rzucidło
Adam Decowski	Maria Kołodziej	Piotr Szczepański
Zygmunt Dekiert	Krzysztof Konecki	Andrzej Sepioł
Piotr Dmochowski	Bartosz Konopnicki	Anna Skrzypek
Jakub Stanisław Domoradzki	Tomasz Kościelniczek	Janina Sokołowska
Mateusz Dworek	Bogdan Kozłowski	Jerzy Stasiewicz
Hanna Dyks	Piotr Łęczyński	Lech Jerzy Stefaniak
Łucja Anna Fice	Piotr Aleksander Łęczyński	Krzysztof Stępień
Szymon Florczyk	Magdalena Łubkowska	Jolanta Szejka
Andrzej Gierch	Sławomira Barbara Marczyńska	Marek Szulakiewicz
Natalia Grudzień	Kacper Mironiuk	Elżbieta Vetter
Jerzy Cyryl Grupiński	Maria Nowakowska	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Krzysztof Gołębiewski	Jerzy Nowotczyński	Henryk Tokarz
Eleonora Górka	Sławomir Olesiak	Paweł Wacek
Michał i Zofia Hawelko	Jan Organ	Iwona Orzechowska-Wiater
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Barbara Orlikowska	Tomasz Witkowski
Ryszard Jacek Juszczak	Magdalena Pelczyńska	Joanna Zientecka
Magdalena Kalinowska	Magdalena Podobińska	



9 771429 905009



1 1